

Janopole
Kawera A.

Cena 20 sant

NASZE

ŻYCIE



POLSKI TYGODNIK ILUSTROWANY

Rok III, № 1 (107)

Ryga, 1 stycznia 1937 r



W siroju noworocznym

DOSIĘGŁOŚĆ

TYDZIEŃ W ŁOTWIE

Na froncie gospodarczym

— Na mocy rozporządzenia przewodniczącego Komisji Walutowej A. Dinsberga, każdy wyjeżdżający z Łotwy za granicę z lotewskim paszportem zagranicznym (indywidualnym czy zbiorowym), a do Estonii również z lotewskim paszportem wewnętrznym, może nabywać w Banku Łotwy (względnie w upoważnionych przez ten bank instytucjach kredytowych), nie częściej niż raz na miesiąc, walutę zagraniczną w kwocie Ls 50.— oraz wywozić tę walutę za granicę bez specjalnego zezwolenia Komisji Walutowej.

Poza tym, innym rozporządzeniem tegoż przewodniczącego Komisji Walutowej i dyrektora departamentu celnego A. Landowskiego, ustalono zostało, że podróżnicy — pasażerowie, z wyjątkiem zagranicznych robotników rolnych, mogą raz na miesiąc wywozić walutę i luty (z wyjątkiem złotych monet) w wysokości Ls 65.—

Rozporządzenia powyższe weszły w życie w dniu 23 grudnia ub. r.

— W dyrekcji kolei lotewskich rozważany jest obecnie projekt uruchomienia pośpiesznych pociągów na linii Ryga—Liepaja (226 klm). Zamiast dotychczasowych 5—6 godzin, pociągi te przebywały by tę przestrzeń w przeciągu 3 godzin. Przyspieszenie biegu pociągów na tej linii wpłynie w sposób niewątpliwie pozytywny na zdolność konkurencyjną kolei z linią lotniczą, jaka na trasie tej zostanie otwarta już z wiosną b. r.

Kronika kulturalna

— W stolicy stanie pomnik pierwszemu Prezydentowi Państwa J. Czakstemu. Koszt budowy pomnika wynoszą około Ls. 50.00.

— Komendant Zamku Prezydenta Państwa płk. Raimond Bebris obchodził ostatnio 25-lecie swojej działalności literackiej.

— III-cia wystawa sztuki lotewskiej, zorganizowana przez Fundusz Kultury, otwarta została w Rydze w dniu 10 XII. 36 r.

W wystawie bierze udział 195 autorów, wystawiających 566 prac.

Wystawa otwarta jest codziennie od godz. 10 do godz. 17.

— Agencja włoska „Stefani”, której przedstawiciel na państwa Bałtyckie przebywa stale w Rydze, ogłosiła w prasie włoskiej w przeciągu ostatnich 2 lat około 15.00 artykułów i notatek, poświęconych Łotwie. Ponadto w radio włoskim wygłoszono 500 pogadanek o Łotwie w 4 językach oraz prasa włoska w 3.500 wypadkach cytowała głosy prasy lotewskiej, podawane przez wyżej wymienioną agencję.

— Obrót pieniężny w Łotwie w ciągu 11 miesięcy r. ub. wzrósł znacznie. Dochód państwa w tym samym okresie czasu zwiększył się o 14 mil. latów.

Wzrosła też poważnie ilość zatrudnionych w Łotwie. M. in. indeks zatrudnionych już w październiku ub. r. przekroczył o 6 punktów poziom zatrudnienia w najlepszym okresie przedkryzysowym, a więc w tym samym okresie czasu r. 1930.

Zdolność nabywczą rolnictwa w porównaniu z r. 1935 zwiększyła się o 22 proc. przy jednoczesnym minimalnym zaledwo wzroście cen.

— Dzień Inu w Latgalii zorganizowany został przez Lotewską Izbę Rolniczą w dniu 22 ub.m.w gminie Reznas w gospodarstwie Borisa.

— Przetwórczość cukrowni w Jelgawie, kończącej prace 24 ub. m., wyniosła w r. b. 81.000 ton buraków.

Życzenia świąteczne i noworoczne

— Poseł R. P. w Łotwie minister Franciszek Charwat zwrócił się do Redakcji „Naszego Życia” z prośbą o wyrażenie w Jego imieniu całej Polonii w Łotwie jak najserdeczniejszych życzeń świątecznych i noworocznych.

Zamiast rozsyłania powinszowań świątecznych i noworocznych Pan Minister ofiarował 50 złotych na pomoc zimową dla biednych dzieci.

— Życzenia noworoczne Poseł R. P. w Łotwie minister Franciszek Charwat przyjmować będzie w gmachu Poselstwa w dniu 1 stycznia 1937 r. w godz. 12.50—14.00.

ZA POWINSZOWANIA I ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE, które Redakcja otrzymała ze wszystkich stron Łotwy i z zagranicy, tą drogą składamy najserdeczniejsze podziękowanie.

SPIS OSÓB, które, zamiast wizyt monorocznych i powinszowań świątecznych, złożyły ofiarę pieniężną na rzecz Polskiego Rz.-Kat. T-wa Dobroczynności w Rydze: Ancan M., Andrzejewski J., Antonowicz B., Antoszevska K., Aramowiczówna J., Arcichowski W., „Ausra”, Azerstark W., mjr. K. i F. Brzeskwiński, Baliński J., Balikin K., Baranowska M., Batianowie M. i D., Bejnarowie J. i J., Benislawska A., Biedrzycki T., Bigge A., Bluhmenowa M., Bondarewscy, Borewiczowa Z., Borodziej E., Brink K., Bryze J., Ciesiulówna L., Ciesiulewiczowie W. i R., Czechowiczówna St., Danusewiczowie, Dawajnowscy L. i W., Długoborska A., Drejman M., Dudkiewiczowie H. i M., Ejsmondowie E. i J., Esterlingowa M., Fienierowa K., Fronckiewicz A., Fronckiewicz S.,

Wiadomości bieżące

— Minister A. Berzińsz mianował na stanowisko generalnego sekretarza Lotewskiej Izby Pracy Alberta Kleinhofa.

— Tegoroczne święta Bożego Narodzenia przeszły, przynajmniej w Łotwie środkowej, pod znakiem deszczu. Deszcz w stolicy i okolicach był tak obfity, że m. in. w Bolderaja nastąpił wylew Daugawy, której poziom przekroczył o 3 metry stan normalny.

Dopiero w drugim dniu Świąt nastąpił mróz i wyjrzało słońce.

— Bokserzy ŁAS'u wyjechali w pierwszy dzień świąt do Polski. Pierwsze spotkanie z bokserami polskimi nastąpiło w Wilnie, gdzie goście walczyli z reprezentacją wojskowego klubu „Śmigły”. Drużyna lotewska jest tak skompletowana, że odpowiada, jeśli chodzi o skład, niewielej reprezentacji państwowej. Z Wilna goście udadzą się do innych miast Polski.

— Budżet Aeroklubu Lotewskiego na rok 1937 przyjęty został w wysokości Ls 146.000.

— Jedno z przedsiębiorstw żeglugowych w Łotwie podejmuje niebawem nawiązanie komunikacji pomiędzy Rygą a Sztokholmem drogą wodną.

Podróż na trasie Ryga — Parnawa — Hapsalu — Sztokholm trwać będzie 40 godzin.

Ginczewski M., Girski W., Goldakowscy M. i R., Grabowski Wl., Grunduls O., Grycan A., Homo L., Hędowa H., Ręda B., Ingelewicz M., Izak A., J. S., Jachimowicz W., Janiszewscy A. i A., Jost M., Juraszek J., Juraszowie, Karmaza P., Kasperowiczowie Wl., Kazanowski J. z rodziną, Klawcanowie B. i M., Knittowa G., Koiro N., Prof. Dr. Kolbuszewscy, Konrad J., Korecka J., Kotkowski J., Krasowscy St. i J., Krzyżanowska M., Kublińska Stef., Kurminowie L. i W., Kuźmierzówna A., Labis R., Langewicz W., Laudańscy, Lawżel St., Lepeszko K., Leonowicz A., Liberys N., Liepiniowa H., Dr. Lokowicz M., Luczek Z., Ludwig J., Łapińska M., Łosińska O., Łukaszewicz A., Łukiańska W., Makowsy J. i M., Marjanowa H., Matulenko W., Matulonis A., Mazalewscy F. i W., Mejerowiczowie A. i W., Meslin-Mieczynscy P. i L., Mierzwiński, Miłosz D., Miż-Miszynowie M. i M., Moczulski J., Nagłowscy W. i W., Nagujewscy Z. i B., Ks. Nowicki A., Ootowa W., Ostrowska A., Ostrowscy J., Ostrowscy St., Ozelinowie H. i J., Pieślakowie M. i M., Piotrowska E., Plesniewicz S., Pożaryski W. z rodziną, Puchowski R., Putan Fr., Raczko W., Raczewska M., Reuttowa Em., Ruranowie, Rustejkowie W., Ruszkowski W., Saldow A., Semenczuk W., Siemaszko Ed., Siwicka W., Skomorowska S., Smirnow D., Sławińska A., Som E., Stalczyński J., Stanisław J., Stankiewicz M., Swirski Ant., Sudymtowie F. i A., Swylanowie J. i P., Szafranko P., Szalkowska Jadw., Szczuko Fel., Szeliga - Soczyński E., Tamuliśówna K., Tarchalska J., Tarchalscy J. i J., Timszan W., Tokarówna W., Urbanowicz Wl., Urbow J., Walliszewski Wl., Wasilewska M., Walter - Wittenheim, Wilpiszewski J., Wiśniewski B., Wiszniewicz Fr., Wojewódzka K., Wojciechowski B. z rodziną, Wojtkiewicz K., Ks. Wollowicz J., Wyrzykowski M., Zabińska L., Zdanowicz G., Zigas Fr., Zuchowski.

Helena Zwejnieks-Janiszewska

OTWORZYŁA WŁASNY ZAKŁAD FRYZJERSKI

„BASILE”

przy ul. Kalku Nr. 12, m. 2 (1 piętro), tel. 33646

do którego uprzejmie wszystkich zaprasza

Losy Abisynii

PODOBÓJ ABISYNI przez Włochów posuwa się powoli, ale stale naprzód. Ostatnio okupowano t. zw. prowincję jezior abisyńskich, gdzie m. in. uwolniono 12 Europejczyków, 3 misjonarzy francuskich i 4 kobiety, znajdujące się w bardzo ciężkich warunkach pod groźbą śmierci ze strony dzikich tubylców.

DWAJ SYNOWIE rasa Kassy zostali ujęci w północnej części prowincji Szoa i natychmiast rozstrzelani.

A HAILE SELASIE WYSPRZEDAJE SREBRO.. Były władca Abisynii, który, opuszczając swój kraj, zabrał ze sobą, jak wiadomo, wielką ilość srebra, znajduje się najwidoczniej w potrzebie, gdyż ostatnio część tego srebra (4.500 przedmiotów) została sprzedana na licytacji w jednej z firm londyńskich. Ceny osiągnięte na licytacji nie były wysokie.

Haile Selasie mieszka, jak wiadomo, obecnie w mieście angielskim Batfa, w odległości 100 mil na zachód od Londynu.

WŁOSI ZDOBYLI w Abisynii ostatnio miasto i okrug Gore, gdzie, po upadku Addis Abeby, mieściła się tymczasowa stolica negusa.

RZĄD WŁOSKI UZNAŁ usamodzielnienie cesarstwa Mandżurii. W zamian za to rząd japoński uznał Abisynię za posiadłość włoską.

WŁOCHY WYSYLAJĄ do Abisynii około 100.000 robotników włoskich, zatrudnionych dotychczas poza granicami państwa, głównie w Francji.

Z ZSRR

W OSTATNIH LATACH bardzo wzrosła flota sowiecka. Liczba okrętów liniowych wzrosła trzykrotnie, łodzi podwodnych siedmiokrotnie, lotnictwo morskie pięciokrotnie. Obecnie stocznice sowieckie budują w dalszym ciągu nowe okręty wojenne.

NA KONGRESIE SOWIETÓW Stalin zapowiedział budowę przez 3000 km. fortyfikacji pogranicznych na Dalekim Wschodzie i w Europie, podwojenie armii, to znaczy doprowadzenie jej do 3 milionów ludzi, potrojenie lotnictwa i szkolenia rocznie 50.000 ludzi w szkołach lotniczych.

W SOWIETACH UTWORZONO nowy związkowy komisariat ludowy przemysłu wojennego, wydzielony z komisariatu przemysłu ciężkiego. Nowym komisarzem został Mojżesz Ruchimowicz, dotychczasowy zastępca komisarza przemysłu ciężkiego.

Ostatnie wiadomości

SKOMUNIZOWANIE FRANCJI, jak donosi prasa, sięga coraz głębiej. Według oficjalnych danych Komsomol liczył we Francji w r. 1934 — 4000 członków, w rok później — 15.000, ostatnio zaś — na 1 czerwca ub. r. — aż 63.000 członków. Nakład dwutygodnika młodzieżowego, wydawanego przez Komsomol we Francji, wzrósł w tym samym czasie z 10.000 do 77.000 egzemplarzy.

WOLNE PAŃSTWO IRLANDZKIE skorzystało ze zmiany króla angielskiego i przeprowadziło w swojej konstytucji kilka zmian, które ograniczyły prawo króla angielskiego w Irlandii.

I RZĄD HOLENDERSKI uznał rząd gen. Franco.

ZMARŁ ostatnio w Warszawie zasłużony działacz niepodległościowy, b. członek delegacji pokojowej do rokowań z Sowietami, b. pierwszy minister spraw zagranicznych niepodległej Polski, ś. p. Leon Wasilewski.

DWA PRÓBNE LOTY polskich samolotów komunikacyjnych do Palestyny wykazały, że komunikacja ta pod względem technicznym jest zupełnie możliwa do zrealizowania, pod względem zaś gospodarczym wysoce uzasadniona: w obu lotach samoloty przewiozły około ćwierć miliona listów. Regularna komunikacja lotnicza między Polską a Palestyną uruchomiona zostanie w kwietniu roku przyszłego.

Br. Majewscy

ZAKŁAD ZEGARMISTRZOWSKI I SPECJALNA PRACOWNIA

ul. w Daugawpilsie, Rainia iela Nr. 87. Egzyst. od 1896 r.

NA SZEROKIM ŚWIECIE

Z Polski Polska polityka zagraniczna

Warszawa, w grudniu 1936 r.

Wybitna, a pod wieloma względami kluczowa pozycja Polski w stosunkach międzynarodowych sprawia, że każde wystąpienie polskiego ministra spraw zagranicznych staje się wydarzeniem, żywo interesującym nie tylko dyplomację i krąg polityczny, lecz również szeroką opinię światową. Podkreślić od razu wypada, że to zainteresowanie nie wypływa z przewidywania jakichś rewolucyjnych zmian w kierunkach i dążeniach polskiej polityki zagranicznej, lecz płynie z przywiązywania dużej wagi do obecnej sytuacji międzynarodowej i jej skomplikowanych przemian przez tak wytrawnego i „szczęśliwej ręki” męża stanu, jakim jest kierownik polskiej polityki zagranicznej — min. Beck.

Drugie w tym roku (po styczniowej mowie) wystąpienie min. Becka na terenie parlamentarnym przed komisją spraw zagranicznych Senatu, określiło stanowisko Polski wobec najważniejszych spraw międzynarodowych w sposób jasny i wyraźny. O ile exposé styczniowe ustalało wytyczne i zasady, o tyle exposé obecne było zobrazowaniem wyników osiągniętych na przestrzeni roku przy zastosowaniu tych właśnie zasad. Rok ten wykażał niezbicie, że w Polsce jest tylko jedna polityka zagraniczna i że zgodnie ze wskazaniami Marszałka Piłsudskiego sprawy wojska i polityki zagranicznej stanowią dziedziny wyłączone spod działań koniunkturalnych i wewnętrznych fluktuacji politycznych, że nie dzieli lecz łączy rząd i cały naród polski w jednolitej, niewzruszonej postawie.

Na wstępie swego exposé min. Beck podkreślił, że politykę polską cechuje powściągliwość i niechęć zaangażowania się poza strefę, w której „mamy środki działania i w której z tym słowo nasze ma bezpośrednią wagę”, dodając następnie, że Polska nie kieruje się żadnymi doktrynalnymi nastawieniami, które tak utrudniają położenie międzynarodowe. „Od kilku lat upominaliśmy się zawsze — oświadczył min. Beck — o jednolitość metod w polityce i zwyczajach międzynarodowych. Polska bowiem dąży do takiej przemiany obyczajów i stosunków międzynarodowych, aby każdy, kto z dobrą wiarą i wolą do współdziałania z innymi przystępuje jak najmniej był narażony na niespodzianki i wiedział z góry, do jakiego stopnia interesy kraju, które reprezentuje, będą zabezpieczone.

Kronika bieżąca

NA OKRES ZIMOWY w celu przyjęcia z pomocą bezrobotnym ministerstwo spraw wojskowych zarządza zaciąg ochotniczy do służby wojskowej w Oddziałach Obrony Narodowej na okres 11 tygodni. Przyjmowani będą rezerwiści i ochotnicy pozbawieni pracy, a zrzeszeni w różnych związkach przysposobienia wojskowego, ze wsi — także niezrzeszeni.

LICZBA LUDNOŚCI Państwa Polskiego wzrosła w ostatnim piętnastoleciu o 6.200.000 osób. Nadmiar ten mogą jedynie wchłonąć tereny kolonizacyjne, o które Państwo Polskie ubiega się na forum międzynarodowym.

NAJWIĘKSZYM, CO DO POWIERZCHNI, województwem w Polsce jest woj. Poleskie, liczące 36.668 km. kw.; najmniejszym zaś — Śląskie — 4.216 km. kw. Miasto stołeczne Warszawa stanowi również mikroskopijne województwo o 123 km. kwadratowych powierzchni.

WARSZAWA JEST SIÓDMYM, co do wielkości, miastem w Europie. Na pierwszym miejscu stoi Londyn — 4.230.000 mieszkańców (Wielki Londyn — 8.401.000), potem idą: Berlin — 4.196.000, Moskwa — 3.614.000, Paryż — 2.891.000 (Wielki Paryż — 4.934.000), Leningrad — 2.711.000, Wiedeń — 1.874.000 i Warszawa — 1.225.000.

SZKOLNE FERIE ZIMOWE świąteczne w tym roku rozpoczęły się 23 grudnia rano i trwać będą do 11 stycznia 1937 r. włącznie. Lekcje rozpoczną się 12 stycznia.

Przechodząc do omówienia poszczególnych od-cinków polityki międzynarodowej min. Beck scharakteryzował kolejno stan stosunków Polski z najważniejszymi kontrahentami, szczególnie podkreślając wagę i celowość metody kontaktów osobistych odpowiedzialnych mężów stanu. Skuteczność tej metody okazała się w całej pełni na tle tegorocznych wizyt obcych mężów stanu w Polsce, oraz polskich zagranicą. Na plan pierwszy wysuwała się wizyta Marszałka Śmigłego-Rydza we Francji łącznie z pobytom w Polsce naczelnego wodza armii francuskiej. Dzięki tym wizytom jeszcze raz podkreślona została, również i przez żywą a serdeczną reakcję francuskiej opinii publicznej, nieprzemijającą wartość przyjaźni i sojuszu Polski i Francji. „Kontakt między rządem naszym a rządem zaprzyjaźnionej i sojuszniczej Francji — oświadczył min. Beck — rozwija się w sposób najbardziej zadawalający także w obliczu wielu innych zagadnień europejskich”. Równie pomyślnie rozwijają się stosunki polsko-rumuńskie.

Odnośnie stosunków polsko - niemieckich min. Beck stwierdził, że „wielka i odważna decyzja ułożenia przyjaźni stosunków między nami a Rzeszą Niemiecką zachowuje nadal swą wartość zarówno w bezpośrednich interesach naszego kraju jak i w całokształcie stosunków kontynentu europejskiego”.

Na tle stosunków polsko - sowieckich „praca dokonana przez nas wspólnie z naszym wschodnim sąsiadem, Związkiem Sowieckich Republik Rad, daje nadal swoje pożyteczne owoce”, gdyż „załatwiamy nasze wspólne sąsiedzkie sprawy w sposób normalny, nie dający powodów do żadnych wstrząsów ani głębszych nieporozumień”.

Liczne kontakty osobiste pozwoliły polskiemu ministrowi spraw zagranicznych na wyrażenie stanowczego przeświadczenia, że „wiele jest nagromadzonego ducha przyjaźni i wiele zrozumienia w różnych punktach naszej części świata dla pracy konstrukcyjnej, opartej na lojalnym poszanowaniu wzajemnych praw i interesów”. Z tego przeświadczenia wypływały zasady polityki polskiej, gdyż „podstawa zbliżenia poglądów między nami a szeregiem innych poważnych państw polega właśnie na niechęci do zamykania się w jakichkolwiek orzeciwstawnych jeśli nie wrogich blokach czy obozach”. Tymi samymi względami było podyktowane ustosunkowanie się Polski do sprawy reformy Ligi Narodów, do sprawy Hiszpanii oraz sprawy abisyńskiej.

Po raz pierwszy w exposé poruszona została sprawa uzyskania przez Polskę terenów kolonialnych i surowcowych, wysunięta przez rząd polski w Genewie i — jak wiemy — uzasadniona w sposób przekonujący koniecznościami populacyjnymi i gospodarczymi.

W odniesieniu do sprawy gdańskiej, która w ostatnim czasie kilkakrotnie wypływała na powierze zainteresowań międzynarodowych, min. Beck stwierdził z całym naciskiem, że „Polska ma w Gdańsku swoje prawa i interesy, które sięgają znacznie poza dyplomatyczne zagadnienia” i że „jeśli chodzi o zapewnienie respektu tych naszych interesów żywotnych, to nic się w tej sprawie zmienić nie może i stanowisko naszego rządu jest proste i niezmienne”.

Uogólniając wytyczne i metody działania polskiej polityki zagranicznej, min. Beck oświadczył w zakończeniu swego exposé: „Nie chciałbym nigdy rozpraszać naszej polityki zagranicznej na zbyt wielką ilość spraw, a zwłaszcza spraw, któreby przechodziły nasze realne możliwości. Sztuczne rozszerzenie naszej aktywności politycznej byłoby z pewnością przeciwne naszej tradycji. Zejście poniżej tej roli, jaka nam jest wyznaczona, byłoby ucieczką przed odpowiedzialnością za nasze dziedzictwo”.

Od tej odpowiedzialności Polska się nie uchyla, podejmując szczerze i śmiało te zadania, jakie interesy Państwa i Narodu wysuwają, stosując w dziedzinie międzynarodowej zasady jasne, stałe i słuszne, pczwalające z całą pewnością określić stosowaną przez min. Becka politykę zagraniczną Polski, jako politykę zdrowego rozsądku i mocnych nerwów.

W. Kietlicz-Wojnacki

Nowy Rok

366 dni przed i 365 dni poza nami.

Jak dobry gospodarz stoimy oto na własnym—ubogim czy bogatym, w mieście czy na wsi — gospodarstwie, i, zanim zdecydujemy, co mamy robić jutro, spoglądamy na okres czasu, który nazywamy rokiem, a który — staruszek z długą, siwą brodą — jest już poza nami.

Jakim był ów rok?

Jakie przyniósł nam plony?

Jakie wyrządził szkody?

Wymowa czasu jest znamienita: chwila po chwili — nieustannie i miarowo — z kalendarza naszego życia opadają, jak jesienne liście, karty już przeżytych, już przeżytych dni, których żadna siła ludzka nie powróci ani nie ożywi. Co wschód — wstajemy starsi, co zachód — jeszcze bardziej starsi udajemy się na spoczynek.

Czas nie czeka. Czas nie wraca.

Czas powoli, ale stale, ale niepowstrzymalnie płynie, uchodzi, ucieka.

I albo może nas budować albo zabijać. Odradzać lub pograżać jeszcze za życia w otchłanie moralnej śmierci.

Wielki i Sprawiedliwy Bóg dał w nasze własne ręce klucz do naszego własnego szczęścia: na czystych, nieskazitelnych tablicach dni i lat wypisujemy sami historię własnego życia.

Jeśli historia ta jest szara i bezbarwna — szarymi są karty naszego życia, uśmiech na twarzy Anioła naszego jest bezbarwny, jest szary.

Jeśli historia jest barwną i żywą — śmieją się słoneczne karty naszego życia i Anioł nasz radośnie się uśmiecha. Kartki z kalendarza wtedy opadają lekko, bezszelstnie, radośnie.

Jeśli . . . Ta trzecia historia jest właściwie historią . . . bez historii. I zdarza się ona najczęściej. Oto człowiek najczęściej nie wie, co robić z czasem, który mu życie przynosi. Albo wciąż się namyśla, co ma z nim zrobić. A gdy się już namyślił — nie ma wtedy już czasu. Ostatnie karty z kalendarza przypruszone są siwizną. Drży ręka. Dochodzi dwunasta . . .

Zaiste, wymowa czasu jest znamienita i jest sprawiedliwa.

Ale oto rachunek ubiegłych dni trzysta sześćdziesiąciu sześciu zamknęliśmy. Po lewej — przychód, po prawej — rozchód. Ogólny wynik — dodatni czy ujemny — podkreślamy czerwonym atramentem i sięgamy po nowy kalendarz — nowy dar nowych dni trzysta sześćdziesiąciu pięciu.

Za chwilę zegar wydzwoni północ.

Ze starego rachunku pozostało nam za ledwie kilkanaście minut. Jeszcze widzimy jak dobroliwie uśmiecha się rok stary, którego żegnamy, i jak — bogaty doświadczeniem — uprzedza, ażebyśmy nie mieli złudzeń, co do jego następcy: tego młodzieniaszka w pieluszkach, który potrząsa piąstkami, wyciąganymi ku nam radośnie, i cieszy się, że nosi taką dużą na piersi ozdobę — napis: rok 1937.

Jest jeszcze trochę czasu z tego starego roku.

I jest już najwyższy czas, ażeby — zanim rozdzwoni się śmiechem niemowlęcej radości rok nowy — odpowiedzieć sobie na pytanie:

— Co chcemy osiągnąć w roku przyszłym?

Mamy przed sobą wszystkie elementy, które odpowiedź tę mogą nam ułatwić: oto uczyniliśmy sumienny bilans swego dotychczasowego życia i znamy siebie, swoje zdolności i swoje możliwości. Biorąc pod uwagę czynnik trzeci — zależny od naszej woli tylko częściowo — czynnik ewentualnych niespodzianek życiowych, układamy budżet roku przyszłego. Oczywiście nie tylko w sensie materialnym, ale, i to przede wszystkim, w sensie programowym.

Dlaczego bowiem, jeśli każde poczynanie przygotowujemy po dobrym obmyśleniu, z ołówkiem w rękę, nie mogliśmy dla najważniejszego — dla życia swego — nie układać planu?

O receptę na ten plan jest niezmiernie trudno. Nie można w tym względzie dostarczyć już gotowych wzorów ani formulek.

Należy jednak pamiętać o niektórych najważniejszych podstawach planu, które przeważnie w samym programie nie są ujawniane.

Można je nazywać rzeczami oklepanymi, ale nie można im odmówić tego, iż

Z. Herniczkowa

Odwiedziny Jezusa

Noc wigilijna, północ. Świat pokryty śniegiem, wszędzie biel niepokalana, drzewa, dachy, drogi, nawet skuta lodem rzeczka, wszystko zasypane śnieżnym puchem. Domy w wiosce opustoszałe, pozamykane, mieszkańcy są na pastercie i śpiewają cudne kolędy Dzieciątku Jezus, leżącemu w żłobku.

Biedny Jaś tego widzieć nie może, leży sam jeden w pustym domu na swoim łóżeczku, cichy i cierpliw. Od ośmiu miesięcy wstać nie może, od czasu, jak na wiosnę zimno go trzęsło i z wielką gorączką musiał iść do łóżka. Od tej pory sił nie ma i coraz słabszy się czuje.

Pomimo tego przymusowego leżenia Jaś smutny nie bywa, nigdy nie narzeka. Żeby się nie nudzić, przypomina sobie różne opowiadania, zasłyszane od babuni, od krewnych, którzy go odwiedzają, sam układa cudne bajki, raz straszne o zbójcach i czarownicach, innym razem pogodne i śliczne o Panu Jezusie i aniołkach. Czasem śpiewa piosenki słabym głosem, przypominającym szemranie strumyka.

Lekarz od czasu do czasu go odwiedza, ale nie zapisuje mu żadnych lekarstw, tylko ujmie jego rączkę w swoje dłonie, puls zbada, a potem opowiada różne zabawne historie, chcąc rozweselić chłopczyka. Jaś śmieje się do rozpuku i bardzo lubi odwiedziny kochanego doktora. Rodzice zatrzymują odchodzącego lekarza i,

właściwie są fundamentem życia i ręką, którą powodzenia w życiu.

Są to:

- silna wola w dążeniu do celu,
- praca.

Jeśli gdziekolwiek rzucimy okiem, wszędzie — w świecie przyrody, czy w świecie ludzkim — znajdziemy potwierdzenie tych najoczywistszych prawd. I dlatego może o nich tak często, tak bardzo często zapominamy.

— — — — —
Nie żyjemy na pustkowiu.

Jesteśmy członkami tej czy innej rodziny, społeczeństwa, narodu.

Nie nośmy w sobie szczęścia! Będzie ono tym silniejsze i większe, im więcej w jego ciepłe i słoneczności znajdzie się najbliższych nam istot.

Każdy ma prawo do szczęścia osobistego, ale to szczęście osobiste będzie tym pełniejsze, im więcej dookoła będzie ludzi uśmiechniętych, zadowolonych, szczęśliwych.

O tym należy pamiętać, gdy planujemy poczynania roku przyszłego. Niejednokrotnie wyrzekamy się pewnych chwilowych wygód czy nawet zysków — zarówno w sensie moralnym jak i materialnym — ażeby w przyszłości osiągnąć jak najwięcej tego, co nazywamy dobrobytem, spokojem, powodzeniem. Tak samo jest w życiu społecznym. Uprzątnij sobie musimy, że jesteśmy w służbie, wciąż w służbie czynnej — na froncie pra-

pomówiwszy z nim, są coraz smutniejsi. Ojciec w zamyśleniu o robocie zapomina i, oparty o wóz, pograża się w smutnej zadumie. Matka ukradkiem lży ociera, żeby Jaś tego nie zobaczył.

Chłopczyzna nie ma smutnych myśli. Wprawdzie spodziewał się, że wyzdrowieje na Boże Narodzenie, ale, czując się słabym, powiedział rodzicom:

— Na przyszły rok to już na pewno pójdę na pasterkę z wami. A teraz idźcie wszyscy, i braciżkowie i siostrzyczki. Dzieciątko Jezus gniewałoby się, gdyby wszyscy, co są zdrowi, nie poszli do kościoła i nie śpiewali mu kolęd. Ja mogę sam zostać; nie mi się nie stanie, będę na was czekał . . . A może Dzieciątko Jezus przyjdzie mnie odwiedzić . . .

Tak się też stało. Wszyscy poszli, drzwi zamknięto, okno było zasłonięte firanką, ciepło rozchodziło się od komina, w którym palił się ogień, i dość widno było w izbie. Na kominie grzał się barszcz, którym mieli się pokrzepić powracający z pastercy. Jaś nie spał, miał oczy szeroko otwarte, rozglądał się po izdebce i myślał. Przypominał sobie wszystkie opowiadania, jakie słyszał o Dzieciątku Jezus. O Jego Narodzeniu w stajence, o tem jak Dzieciątko kocha dzieci, jak myśli o nich, a szczególnie o chorych i opuszczonych; jak każde dziecko, czy biedne, czy bogate, jest mu bliskie, byleby było dobre i po-

12 GODZIN NA ZEGARZE ŻYCIA

cy społecznej, który, jak każdy front, wymaga wyrzeczeń, ograniczeń a nawet — niejednokrotnie — ofiar.

Gdy wybije północ i gdy ten nowy, oczekiwany rok zawita w nasze progi — niech każdy z nas zda sobie sprawę z tej służby, twardej służby społecznej.

I niech życzy, jak wszyscy sobie nawzajem w tym roku życzymy, wytrwania w szeregach ludzi, biorących ciężar tej służby świadomie na swoje barki.

Za 365 dni staniemy przed nowym bilansem: znowu spisywać będziemy swój dochód i rozchód roczny, podsumowywać swoje ustępstwa i błędy, osiągnięcia i sukcesy. Rubryka: służba społeczna — po stronie ujemnej — niech wtedy będzie czysta. (mm)

Ewangelia na niedzielę po Nowym Roku

zapisana u św. Łukasza w rozdz. 2, w. 21

W on czas: Gdy nadszedł dzień ósmy, w którym należało obrzezać Dziecię, nadano Mu imię Jezus, zapowiedziane przez anioła, zanim się w łonie poczęło.

NAUKA

Nad bramą Nowego Roku jaśnieje Najświętsze Imię Jezus.

Imię to jest światłością, co światłem Bożem oświeca ścieżki twego życia.

To słodkie imię Jezus wypisz na pierwszej karcie Nowego Roku.

Bo Jezus jest „drogą, prawdą i żywotem”. W świetle Jego imienia patrz na swe życie, a ukaże ci się zawsze piękne i radosne.

Do tego świętego imienia zwróć swoją wiarę głęboką. Ono ci bowiem wskazuje, czego masz szukać na tej ziemi, ono nadaje kierunek twemu życiu. Moe tego imienia obudzi twą duszę i wskrzesi do nowego życia, a modłom twoim da cudowną siłę.

bożne. Gdy tak rozmyśla przychodził mu do głowy, że może miłosierne Dzieciątko odwiedzi go dzisiaj, kiedy tak osamotniony leży chory w swoim łóżeczku, i będzie chciał go pocieszyć, że nie mógł być na pastercie.

I Jaś widzi oczyma wyobraźni kościół pełen ludzi, rodziców, rodzeństwo, kłęczących przed złotkiem i śpiewających kolędy. Sam zaczyna nucić półgosem. W żłobie leży, kóz pobieży...

W tej samej chwili jakiś podróżny wszedł zaśnieszoną ścieżką, schodzącą z góry do wsi. Wygląd miał nie wzbudzający zaufania: wielkiego wzrostu, w obdarzonej odzieży i uzbrojony w kij sękaty, którym można było zabić psa, a może i człowieka. Zdaleka zobaczył dym, unoszący się nad kominem jednej chałupy,

— W tym domu nie śpią — powiedział półgosem. — Taki jestem zgłodniały, poproszę o kawałek chleba, a może i barszczu nie poskąpią i kawałka kielbasy, boś to jutro Boże Narodzenie i ludzie przygotowali sobie lepsze jadlo.

Doszedłszy do chałupy, przyłożył oko do dziurki od klucza. W półmroku panującym w izbie nie dostrzegł nikogo, tylko ogień tlił się na kominie i widać było jakiś garnek stojący na nim.

— Zdaje się, że nikogo niema — mruknął podróżny. — Spróbujmy wejść, jeżeli tam ktoś był, to poproszę o pozytywienie, jeżeli nikogo niema, podjem sobie dobrze.

Spróbował klamki, nie ustąpiła, zaczął pukać, nikt nie odpowiadał, cisza panowała zupełna. Wtedy oparł się silnie o drzwi i pchnął z całej siły, zaczęły trzesz-

Nowy Bok. Wybiła godzina dwunasta. Bywa, że w chwili tej ludzie, zamiast skupić myśli i westchnąć do Pana Boga, biorą w ręce kielichy i mglisty wzrok zwracają ku zegarowi, witając pijanym wrzaskiem Nowy Rok.

I my spójrzmy na zegar, który razem z sercem naszym wybija nam takt życia, patrzmy z skupieniem i powagą na poszczególne godziny: każda godzina — to dla nas nauka i upomnienie.

Godzina pierwsza: Pamiętaj, jeden tylko raz żyjesz na świecie: więc nie błąkaj się po bezdrożach, bo jeden jest tylko cel życia, jeden Bóg, jedna wiara, jeden chrzest.

„Jeśli o co prosić będziecie Ojca w Imię Moje, da wam”.

Imię Jezus oznacza zbawienie, zwycięstwo, zachęca i uzbraja do walki z złem.

„Wspomożenie nasze w imieniu Pańskim”!

„Bo nie jest pod niebem inne imię dane ludziom, w którymbyśmy mieli być zbawieni”.

W imię Jezusa rozpoczynaj każdy dzień!

W obronie czci i świętości tego imienia stawaj zawsze, gdy zajdzie potrzeba!

Imię Jezus niech będzie stróżem twojej rodziny, jej świętości i nierozzerwalności, niech wskazuje ci zawsze drogi i zamiary Boże w rodzinie chrześcijańskiej!

Święte imię Jezusowe wypisz nad światem myśli, słów i uczynków swoich, a będzie ci Ono mocą niezwykłą i tarczą obronną, poprowadzi cię drogą pewną, na której dojdiesz do Jezusa.

czeń. Zdawało mu się, że ktoś się odezwał ze środka, więc na chwilę zatrzymał się nadsłuchując.

— Zdawało mi się tylko, to świerszcz się odzywa, zamek nie musi być tęgi, podniosę go nożem i ustąpi.

Mówiąc to, wsunął koniec noża między zamek i drzewo i w chwili kiedy miało żelazo ustąpić pod silnym naciskiem, usłyszał tym razem bardzo wyraźnie słaby głosik, który mówił:

— Proszę poczekać, zaraz otworzę, już wstałem; proszę się nie gniewać na mnie, a szczególnie nie odchodź.

Klucz zazgrzytał w zamku wolniutko, jakgdyby otwierano z wielkim trudem i głosik się odezwał.

— Proszę popchnąć drzwi, bo ja nie mam siły.

Podróżny, zdumiony, zawahał się chwilę, poczem stanął w progu, w półmroku dostrzegł jakąś białą istotkę opartą o krzesło.

— Proszę wejść, odezwał się głosik drżący, ale pełen szacunku, proszę nie siedzieć tak długo na dworze, bo zimno. I składając rączki Jaś mówił dalej:

— Jaki jesteś dobry, Panie Jezu, że przyszedłeś do mnie. Właśnie o Tobie myślałem, kiedy usłyszałem pukanie, i z wielkiej radości nie mogłem się ruszyć. Myślałem, że i tak wejdiesz przez dziurkę od klucza. Bylbym wstał wcześniej, aby otworzyć. Ale proszę wejść, bo zimno.

Na to wezwanie podróżny wszedł powoli. Jaś się zdumiał.

(Dokończenie na str. 6)

Godzina druga: Dwie są drogi do wieczności; jedna szeroka, która wiedzie na zatracenie, i druga wąska, która wiedzie do nieba. Którą wybierzesz?

Godzina trzecia: Chrześcijaninem jesteś. Trójca święta — oto podstawa wiary, twej. Trzy cnoty boskie: wiara, nadzieja, miłość — wskazują, ci drogę do Boga, a wśród tej drogi jak kwiaty cudne rosną dobre uczynki, z których najprzedszymsze są trzy: modlitwa, post, jałmużna. Komu zaś Bóg udzielił powołania, ten w życiu zakonem, w trzech ślubach — czystości, ubóstwa, posłuszeństwa — znajdzie sobie prostą i bezpieczną drogę do nieba.

Godzina czwarta: Żyjesz na świecie nie sam; czwarte przykazanie przypomina ci, że masz obowiązki wobec rodziców, przełożonych; cztery grzechy, wolałające o pomstę do nieba, przestrzegają cię, byś bliźnim swym nie czynił krzywdy. To też nie zapominaj o czterech cnotach głównych: roztropności, sprawiedliwości, umiarkowaniu i męstwie. A gdy cię świat wieść będzie na manowce, pomnij na ostateczne rzeczy człowieka: śmierć, sąd, niebo albo piekło.

Godzina piąta: Nic, bój się! Kościół przez pięć przykazań swoich strzeże cię i wychowuje. Ale wychowuj też sam siebie, spiesz chętnie do spowiedzi, spełniając sumiennie pięć warunków sakramentu Pokuty. Pomoże ci w tem Matka Najświętsza, gdy jako wierny jej czciociel kłaść będziesz do jej stóp pięć róż radosnych, bolesnych i chwalebnych Różańca. A w pięciu ranach Jezusowych znajdziesz ochronę od burz i pokus życia.

Godzina szósta: Szóste przykazanie przestrzega przed pożądlivością ciała, a sześć grzechów przeciwko Duchowi Świętemu świadczy, jak daleko człowiek może oddalić się od Boga.

Godzina siódma: Lecz chociaż z siedmiu grzechów głównych jako ze źródeł zatrutych zło płynie na świat, równocześnie z siedmiu Sakramentów świętych płyną nam źródła łaski i pomocy Bożej. W siedmiu prośbach Modlitwy Pańskiej możemy wołać jako dzieci do Ojca Niebieskiego, a siedmiu uczynkami miłosierdnymi, co do ciała i co do duszy, gromadzić sobie zasługi dla nieba.

Godzina ósma: Ośm błogosławieństw — oto obfita nagroda za naśladowanie Chrystusa.

Godzina dziewiąta: Pamiętaj o własnej duszy, nie zapominaj o duszach bliźnich, byś snąc jednym z dziewięciu grzechów cudzych nie dał bliźniemu zgorzienia.

Godzina dziesiąta: Skoro wiernie zachowywałeś dziesięcioro przykazań Bożych, możesz z ufnością oczekiwać sądu Bożego.

Godzina jedenasta: Niejeden w obliczu śmierci zawołał: „Zapóźno! Zmarowałem tyle łask Bożych, niema dla mnie zbawienia”. Oto Pan nawet w jedenastej godzinie powołuje robotników do winnicy swej.

Godzina dwunasta: Dwunastu apostołów wysłał Pan Jezus, by głosił światu Wesołą Nowinę. Dwanaście artykułów Składu Apostolskiego niech nam będą przewodnikami życia. Wtedy, gdy wybije ostatnia nasza-dwunasta godzina, będziemy mogli zawołać ze św. Pawłem: „Biegę dokoła, wiary dochowałem, nakoniec czeka mnie korona chwały”.

Patrzmy nieraz na wskazówki zegara ze skupieniem i powagą, a zegar nasz będzie nam nauczycielem i drogowskazem życia.

Dolar i osiemdziesiąt siedem centów. To wszystko. Z tego sześćdziesiąt centów w pojedynczych penny. W pojedynczych penny, wytargowanych w sklepiku, na targu, u rzeźnika (jakże pałają policzki, gdy w oczach sprzedawcy czyta się milczące, ale wymowne oskarżenia o sknerstwo). Adela trzykrotnie przeliczyła oszczędności. Dolar i osiemdziesiąt centów. To wszystko. A jutro wigilja.

Oczywista, nie pozostaje nic innego jak rzucić się na małą wytartą kozetkę i zalać się łzami. Co też Adela natychmiast wykonała. A z tego można wnosić że życie składa się z płaczu, łkań i uśmiechów, z przewagą łkań.

Póki pani domu przechodzi od jednego stanu do drugiego, rozejrzemy się po mieszkaniu. Typowe mieszkanie umeblowane za osiem dolarów tygodniowo.

Na dole korytarza skrzynka do korespondencji, do której nie przedostanie się żaden list, i elektryczny przycisk, z którego nikt nie wycisnę żadnego dzwonka. Tuż obok wizytówka: „Mr. D. James Dillingam Yang”. Zakrętasz dumnie zadzierają nosa do góry w epoce minionego rozkwitu, kiedy to ich właściciel otrzymywał trzydzieści dolarów tygodniowej pensji. Teraz zaś przy dochodach, obniżonych do dwudziestu dolarów, litery imienia wyblakły i jakby zastanawiały się poważnie, czy nie zredukować się do jednego skromnego „D”. Ale o jakiejkolwiek porze mr. James Yang wracał do domu — mrs. James D. Yang, przedstawiona już wam jako Adela, nazywała go Jimmem i radośnie witała uściskiem. I tak żyło się dobrze.

Adela przestała płakać i przypudrowała policzki puszką. Stojąc przy oknie, pośpiesznie spoglądała na burą kotkę prze-

chadzającą się po szarym parkanie smętnego podwórza. Jutro wigilja; a ona ma tylko 187 centów na podarunek dla Jimmy. Całymi miesiącami składała penny do penny i oto jaki jest skutek. Z dwudziestoma dolarami tygodniowo niewiele się robi. Wydatki zawsze przekraczały zgóry uplanowany budżet. Zawsze to tak bywa. Tylko jeden dolar osiemdziesiąt siedem centów na podarek dla Jimmy dla jej Jimmy! Ileż to szczęśliwych godzin spędziła, obmyślając ten podarunek. Piękny, niepowszedni, istotny! — Coś, co przynajmniej w przybliżeniu będzie godne szacunku należenia do Jimmy.

W pokoju między oknami stało tremo. Możliście widzieli lustro ściennie w osmiódolarowych mieszkaniach? Jeśli w migotliwych rzędach podłużnych pasemek będzie się przeglądać osoba ruchliwa i szczupłutka, to może ujrzy dokładnie swoje odbicie.

Zgrabna i zręczna Adela wydoskonaliła się w tej trudnej sztuce.

Naraz odskoczyła od okna i stanęła przed zwierciadłem. Czy jej płonęły niezwykłym blaskiem, ale na chwilę, na dwadzieścia sekund, twarz jej oblekała się błażością. Porywczym ruchem podniosła rękę do fryzury i rozpuściła włosy.

Teraz należy zaznaczyć, że w posiadaniu małżeństwa Yang były dwie rzeczy, któremi oboje niezmiernie się chełpili. Pierwsza — to złoty zegarek Jimma, odziedziczony po ojcu i dziadku. Druga — to włosy Adeli.

Gdyby królowa Saba mieszkała naprzeciwno, wystarczyłoby, aby Adela wysunęła przez okno swoje włosy, a wszystkie skarby i klejnoty Jej Królewskiej Mości

O. Henry

Dary

zbladłyby natychmiast. Gdyby zaś król Salomon ze wszystkimi swemi skarżami był odzwiernym — to Jimmy, mijając go, wyjmowałby za każdym razem swój złoty zegarek, aby widzieć, jak stary król zaczyna z zazdrości wyrwać sobie włosy z brody.

I oto wspaniałe włosy Adeli rozspayały się w polyskliwych strumieniach, podobne do kaskady ciemnozłocistych wód. Siegały do kolan i, jak szata, okrywały całe ciało. Ale po chwili z nerwowym pośpiechem Adela upięła je w węzeł. Był taki moment: zawahała się na chwilę i stała cicho a dwie lzy stoczyły się na stary czerwony dywan.

Wyciągnęła z szafy stary brązowy żakietek i tegoż koloru kapelusz, następnie wicher spódnic, jeszcze jeden, przypadkowo spóźniony błysk brylantowy w oczach — i wyfrunęła z mieszkania na schody — i potem na ulicę.

Zatrzymała się dopiero przed szyldem. „Madame Sophrony. Wyroby z włosów.” Wbiegła na pierwsze piętro i zadyszana zapukała nieśmiało.

Madame była korpulentna, za bardzo biała, lodowata i niezupełnie harmonizowała ze swoim imieniem.

— Czy zechce pani kupić moje włosy — zapytała Adela.

— Kupuję włosy — odpowiedziała ma-

ców, którym dzieci pomarły, i co oni mają robić, czy mają być kontenci, jak widzą dokoła siebie nie tylko złych, ale równocześnie szczęśliwych. Czy to sprawiedliwe?

— O, Panie Jezu, trzeba im przebaczyć, ja wiem, że oni źle robią, nie zgadzając się z wolą Bożą, ale nie mają czego zazdrościć, bo szczęśliwy dzisiaj może być nie szczęśliwy jutro.

Nieznajomy zerwał się raptem z krzesła.

— Proszę nie odchodzić — rzekł Jaś błagalnym głosem — proszę mnie chociaż pocałować. Podróżny nachylił się nad dzieckiem.

Jaś dojrzał lzy w jego oczach.

— O panie Jezu, nie płacz, ja zawsze będę dobry, żeby Cię nie martwić. Przepraszam Cię bardzo i za siebie i za wszystkich, co są niedobrzy.

— Za kogóż mnie bierzesz, biedno dziecko?

— Przecież jesteś Panem Jezusem, który odwiedza chore dzieci i ma dla nich piękne podarki w swoim worku.

— Ja — zakrzyknął twardo i prawie ze złością nieznajomy — ja jestem złodziejem, a w moim worku są naczynia, skradzione w pustym kościele.

Usłyszawszy te słowa Jaś ze zgrozą i przerażeniem spojrzął na nieznajomego.

— Pan jest złodziejem, a ja tak się cięszylem, że Pan Jezus mnie odwiedził. O Boże, stabo mi. I biedny chłopczyzna pobladł jak wosk, przymknawszy oczy.

— Zabiłem go, Panie Jezu, zabiłem go — wykrzyknął nieznajomy — nie mam co robić na świecie, niema dla mnie przebaczenia.

Z. Herniczkowa

(Dokończenie)

Odwiedziny Jezusa

— Jak! Jesteś wielki, Panie Jezu! Wiem, że możesz być takim, jakim chcesz; myślałem jednak, że będziesz mniejszy ode mnie. Proszę Cię, kiedy jesteś taki duży, zanieś mnie do łóżeczka, bo sam nie dojdę.

Podróżny, zdumiony w najwyższym stopniu, nachylił się, aby dziecko unieść, mówiąc sam do siebie:

— Co to jest, za kogo to dziecko mnie bierze, ono ma rozum pomieszany.

Znalazszy się w łóżku, Jaś poprosił o zapalenie świecy. Nieznajomy słuchał, robił wrażenie, że jest posłuszny jakiejś tajemniczej woli, silniejszej od niego.

Domyślił się, kochani czytelnicy, że nieznajomy był bardzo złym człowiekiem, mającym niejedno na sumieniu. Niezawsze był takim. Miał kiedyś żonę i dziecko, małego chłopczyka, którego nade wszystko kochał i który umarł. Tyle czasu przeszło, tyle złych czynków zatarło to wspomnienie! Teraz, niosąc Jasia, przypomniał sobie, że kiedyś tak — nosił swoje chore dziecko i jego zatwardziałe serce drgnęło na to wspomnienie.

Jaś przglądał się ze zdumieniem i trochę zawiedziony odezwał się:

— Jestem pewny, żeś to Ty, Panie Jezu, chociaż wolałbym, żebyś takim przyszedł do mnie, jakim jesteś na obrazkach. Ale może jesteś głodny, to pożyj się. Na kominie stoi barszcz, na stole leży chleb, znajdzie się i kawałek kielbasy w szafce.

— Pić mi się chce — wyjąkał nieznajomy, który czuł, że go coś ścisiska w

gardle. — Ale głodny też jestem i z chęcią się pożywię. Wychylił garnuszek wody, poczem nalał sobie barszczu i kroił dużą kromkę chleba. Na wezwanie Jasia siadł koło jego łóżka, trzymając barszcz na kolanach.

— Czy u wielu dzieci byłeś dziś, Panie Jezu i czyś widział dużo ludzi wesółych i szczęśliwych w tym dniu dla wszystkich radosnym? — zapytał Jaś.

— Więcej jest ludzi biednych i głodnych, aniżeli szczęśliwych — odburknął nieznajomy — tak biednych, że nie mają kawałka chleba, a bogacie nie wiedzą, co wpród jeść, tyle tego mają.

Jaś zamilkł, przerażony niechętnym głosem nieznajomego, po chwili odezwał się cichutko i pokornie:

— To prawda, Panie Jezu, że dużo jest ludzi złych i niezadowolonych, ale często są głodni, bo pracować nie chcą. Ojciec mówi, że praca zawsze się znajdzie dla każdego. O, choćby tu w sąsiedztwie, ksiądz przeor z klasztoru w Zakrzówku szuka człowieka, coby chciał pracować w ogrodzie, rąbać drzewo, i nikogo znaleźć nie może, bo każdy mówi, że woli nie robić, aniżeli być mało płatnym. I ja też nieraz byłem leniwy, dobry Jezu, ale jak wyzdrowieję, będę bardzo pilny, bo wszyscy muszą pracować.

— Pracować — odparł nieznajomy — żeby to tylko o pracę chodziło, ale ile jest nieszczęśliwych dzieci, bez matek, rodzi-

magów

dame. — Proszę, niech pani zdejmie kapelusze i pokaż.

Rozsypała się brązowa kaskada włosów. Madame zanurzyła swoją doświadczoną rękę.

— Dwadzieścia dolarów — rzekła.

— Byle prędzej — zawołała Adela.

O! a potem dwie godziny latała na różowych skrzydłach (proszę mi nie brać za złe tych okruczeń metafor). Przeorała wszystkie sklepy, szukając podarunku dla Jimmy.

Nareszcie znalazła. Tak, to było przeznaczone dla Jimmy i tylko dla niego. Wszak w żadnym magazynie, mimo skrupulatnych badań, nie znalazła nic podobnego. Platynowy łańcuszek do zegarka, poważny i skromny w kształcie, świadomy swojej wartości, a przeto obywający się bez tanich ozdóbek — jak wszelka dobra rzecz. Był nawet godzinie zegarka. Ledwo zobaczyła go, od razu wiedziała:

Jimmy powinien mieć taki łańcuszek. Ten przedmiot był podobny do samego Jimmy. Spokojna godność — to wspólna ich cecha. Zapłaciła za łańcuszek 21 dol. i pośpieszyła do domu z 87 cent. Mając taki łańcuszek, Jimmy może w każdym towarzystwie swobodnie wyjąć zegarek i spojrzeć, która godzina. Dotychczas zaś mimo wspaniałości samego zegarka musiał go czasem wyjmować ukradkiem ze

Jas otworzył oczy i wolniutko ale wyraźnie powiedział:

— Z Panem Jezusem ukrzyżowano dwóch łotrów, a ten, co za grzechy żałował, tego samego dnia był z nim w raju.

Tym razem oczy jego się zamknęły i już się więcej nie otworzyły. Nieznajomy ukląkł przed łóżkiem, powtarzając nawpół przytomnym głosem: I tego samego dnia był z nim w raju...

Zegar wybił pierwszą. Nieznajomy podniósł się z klęczek, chwilę się zawałał, poczem wziął worek, który złożył poprzednio w kącie, i wydobyl z niego złoty kielich oraz patenę i dwa srebrne lichtarze. Wszystkie te przedmioty ustawił na stoliku, koło wezgłowia Jasia, świecę przekrajał na dwie części i wstawił zapalone do lichtarzy. Poprawił pościel na łóżku i złożył rączki dziecka jak do modlitwy, poczem, przymknąwszy drzwi, znikł na zakręcie drogi.

Opowiadają w okolicy, że sam Pan Jezus odprawiał pasterkę przy łóżku Jasia i w tym celu przyniósł święte naczynia z kościoła w Zaciszu i że po mszy świętej zabrał Jasia ze sobą do nieba.

W klasztorze w Zakrzówku przeor tego samego dnia przyjął do służby żebraka, który prosił o przytułek. Człowiek ten od rana do wieczora spełnia w milczeniu i z pokorą najniższe posługi. Czasem tylko półgłosem powtarza tajemnicze zdanie: Dobry łotr tego samego dnia był z nim w raju...

Jeden przeor zna jego tajemnicę, inni zakonnicy uważają go za nieszkodliwego warjata.

Tak to Pan Jezus jednego dnia dwie duszo nawiedził.

względu na stary wytarty rzezyk, zastępujący łańcuszek.

W domu podniecenie Adeli cokolwiek ostygło i zdrowy rozsądek doszedł do głosu. Wyjęła karbówki, zapaliła gaz i wzięła się do roboty. Naprawiała spustoszenia, dokonane przez wielkoduszność plus miłość. Drodzy przyjaciele, to strasznie ciężkie zadanie — zadanie niewykonalne.

Po czterdziestu minutach cała główka jej była pokryta drobnymi kędziorkami, które upodabniały ją do potarganego uczniaka. Długo, uważnie i krytycznie spoglądała na swoje odbicie w lustrze.

— Jeżeli Jimmy nie zabije mnie odrazu, to napewno powie, że wyglądam jak chórzystka dzielnicowego teatryku. Ale cóż ja miałam począć? — Cóż ja miałam począć z jednym dolarem i 87 centami?

O godzinie siódmej kawa była zagotowana i rozpalona patelnia czekała tylko na kotlety.

Jimmy nigdy się nie spóźniał. Adela złożyła łańcuszek, zacisnęła w dłoni i usiadła w kątku koło drzwi, przez które zawsze wchodził. Potem usłyszała jego kroki na dole, na pierwszym piętrze i na chwilę zbladła. Miała zwyczaj układać krótkie modlitwy o powszednich drobniactwach, więc i teraz szepnęła: „Boże Wielki, uczyni, aby pomyślał, że jestem jeszcze ładna”.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Wszedł Jimmy. Był szczupły, twarz jego miała poważny wyraz. Biedny chłopak — dwadzieścia dwa lata i już rodzina na barkach. Palto było zniszczone, ręce gołe, bez rękawiczek.

Jimmy zatrzymał się w drzwiach, nieruchomy jak węzeł, który zwęszył kuropatwę. Wzrził w Adele dziwne spojrzenie — nie rozumiała tego spojrzenia, i to ją najbardziej przestraszyło. Nie był to gniew, ani zdumienie, ani potępienie, ani wstręt — żadne z tych uczuć, których się spodziewała. Poprostu patrzył na nią dziwnym wzrokiem.

Adela szarpnęła się ku niemu do stołu.

— Jimmy drogi! — krzyknęła — Nie patrz tak na mnie. Ściągam sobie włosy i sprzedałam je, ponieważ nie mogłam tego znieść, aby na wigilję nic ci nie podarować. Włosy znowu odrosną, a przecież tobie jest wszystko jedno, prawda? Nie mogłam sobie inaczej poradzić. Jimmy kochany, włosy przedko mi odrastają. Jimmy drogi, powiedz, że mnie kochasz, i bądźmy szczęśliwi. Nie wyobrażasz sobie, jaki mam dla ciebie piękny i wytworny podarunek.

— Ściągać sobie włosy? — z trudem wymówił Jimmy, jakgdyby nie mógł sobie w żaden sposób uprzytomnić tak oczywistego faktu.

— Ściągam i sprzedałam — rzekła Adela. — Czy dlatego przestaniesz mnie kochać? Przecież i bez włosów jestem tą samą?

Jimmy rozejrzał się wokół z ciekawością.

— Powiadasz, że nie masz już włosów? — rzekł z nieledwie idjotyczną miną.

— Nie szukaj ich — odpowiedziała Adela. — Sprzedałam. Powiedziałam ci już — sprzedałam, oddałam. Chłopce mój drogi, wszak dzisiaj jest wilja. Nie gniewaj się na mnie, zrobiłam to dla ciebie. — I naraz dodała z serdeczną powagą: — Może już na włosach moich przyklejono papierek z cyfra, ale za to żadna cyfra nie

wyrazi, jak ja cię kocham! Jimmy, będziemy smażyć kotlety?

Jimmy jakgdyby naraz obudził się z osłupienia. Pochwycił w objęcia Adele. Na dziesięć sekund odwrócił spojrzenie od niej — przyjrzyjmy się jakiej obojętnej rzeczy. Osiem dolarów na tydzień, czy milion na rok — czy to nie wszystko jedno? Matematyk albo dowcipniś dadzą niewłaściwą odpowiedź. Magowie przynieśli drogocenne dary, ale żaden z tych darów nie był tak drogocenny. Tymczasem zadawałam się tem smętne twierdzeniem, które później się wyjaśni.

Jimmy wyciągnął z kieszeni paczkę i rzucił ją na stół.

— Adelo, nie myśl o mnie źle. Ostrzygłaś się czy ogoliłaś, czyś tylko wymyła sobie włosy szampjonem — to nie może wpłynąć na moją miłość do mojej dziewczyny. Otwórz paczkę, a dowiesz się, czemu w pierwszej chwili byłem nieswój.

Białe, zrzęzne palce zerwały sznurek i papier. Następnie zachwycony okrzyk radości — niestety! — odrazu zmienił się w lży histeryczne i lkania. Zaczem trzeba było uciec się do całego arsenału uspokajających środków.

Albowiem paczka zawierała... grzebienie — garnitur grzebyków, które już dawno zachwycały Adele z wystawy pewnego sklepu na Broadwayu. Wspaniałe grzebienie z prawdziwego szylkretu, z błyszczącymi kamieniami po bokach, gustownie dobrane do koloru włosów Adeli. Wiedząc, że są drogie, marzyła o nich ze smutną rezygnacją. I oto nagle posiadała je, ale cóż z tego, kiedy nie ma już warkoczy, na których grzebienie te miały błyszczeć! Mimo to przycisnęła do serca podarunek, opanowała się i rzekła z uśmiechem w zamglonych oczach:

— Drogi mój, włosy odrastają mi tak przedko!

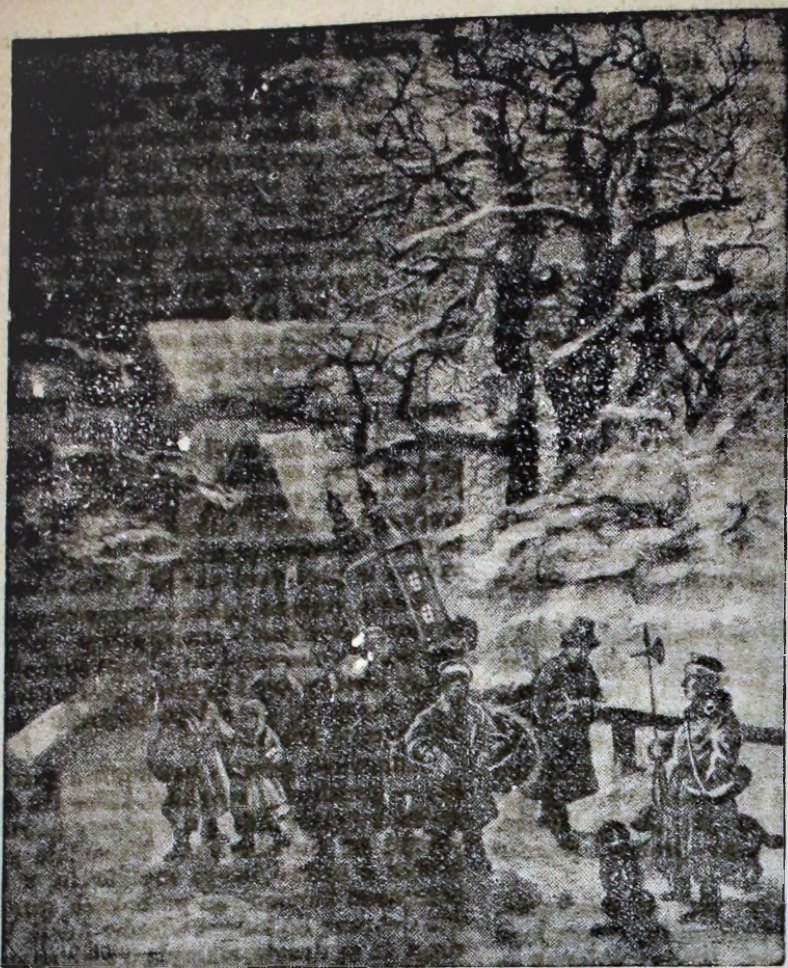
A następnie podskoczyła jak kotka i zawołała: „O! o!” Przecież Jimmy nie widział jeszcze jej pięknego podarunku. Porywco pokazała go na otwartej dłoni. Mogłoby się zdawać, że matowy, szlachetny metal zapłonął odblaskiem jej promienistej i namiętnej radości.

— Jimmy, czy to nie jest wytworny łańcuszek? Przeszukałam całe miasto, zanim znalazłam. Teraz możesz sto razy na dzień spoglądać na zegarek, zobaczymy, jak będzie wyglądał z łańcuszkiem.

Jimmy usiadł na kozetce, złożył ręce na karku i uśmiechnął się:

— Adelo — rzekł. — Odlóżmy nasze podarunki i schowajmy je na pewien czas. Teraz są zbyt piękne, aby ich można było używać. Sprzedałam swój zegarek i za otrzymane pieniądze kupiłem te grzebienie. A teraz proponuję ci smażyć kotlety.

Jak wiadomo, magowie, którzy przynieśli dary do jasełek, byli mądrymi, niezwykłe mądrymi ludźmi. To oni wymyślili zwyczaj dawania podarunków na Boże Narodzenie. Z całą pewnością dary ich były równie mądre, jak oni sami. Być może nawet, że mogli zamienić je na inne, w razie potrzeby. Ja zaś chciałem wam opowiedzieć niewymyślną historję o dwóch głupich dzieciach, które bezmyślnie wyzbyły się największych swoich skarbów. Ale na zakończenie pomóżcie mi powiedzieć, że jednak ze wszystkich ludzi, którzy się nawzajem obdarowywali, ci dwoje są najmądrzejsi. Ze wszystkich, którzy dawali i przyjmowali podarunki — oni są najmądrzejsi. Albowiem oni są — magami.



Na pasterkę

Rys. Ejsmonda

Kornel Makuszyński

Latająca ryba

Panna Wanda rzuciła niecierpliwym ruchem na stół siedem paczek. Siadła na krześle, przez chwilę patrząc na zawiniątko, jak gdyby nie rozumiejąc, poco je tu przyniosła.

Nagle zdarzyła się rzecz dziwna: jedno z siedmiu leżących na stole zawiniątek rzuciło się nagle nieoczekiwanym ruchem, jakby tknięte atakiem konwulsji. W wieczór wigilijny zwierzęta przemawiają ludzkim głosem, złodzieje nie kradną, człowiek przestaje być wilkiem, wilk nie chce być człowiekiem. Tak dziwne dzieją się sprawy, że dlatego, zapewne, niebawmy fakt poruszenia się martwego przedmiotu, zupełnie nie zdumiał miedzianowłosej panny Wandy. Podniosła się z westchnieniem i ów pakunek, zawinięty w gazetę i wstrząsany konwulsyjnym dreszczem, złożyła między oknami, lekko uchyliwszy zewnętrzną ramę. Zawiniątko uspokoiło się na zimnie.

Panią westchnęła po raz drugi, czego sobie jednakże nie umiemy wytłumaczyć. Gdybyśmy mogli zajrzeć w głębinę jej orzechowych oczu, odgadlibyśmy niejedno. Jest to jednak sprawa w tej chwili niewykonalna, panią bowiem, zebrawszy ze stołu sześć paczek, nie tkniętych drgawkami, poniosła je do kuchni. Powieściopisarz polazłby tam za nią, nam tego zabrania poczucie taktu. To nie nasz teren...

Wieczór, już we wczesnej młodości, osiadał siwą śnieg, a miękka, niepokalana białość pokryła mocno zabrudzony świat. Jest bardzo cicho... Panią nie powraca, możemy przeto rozrzuconym spojrzeniem obejrzeć dwa małe pokoiiki; w jednym kwitnie anemiczny kwiatek, a po wszystkich kątach śpią książki. Może dlatego tak tu jest przytulnie i ciepło, że w każdej książce tli się złota iskierka, odprysk z ogromnego pożaru; albo w niej złotym płomieniem pali się miłość, albo rozżarzone do białości płoną słowa. Zawsze jest ciepło tam, gdzie są książki.

Po drugiej chwili panią wróciła jak gdyby zmęczona i senna; nakryła stół kolorowym obrusem, ustawiła talerze, a pośród nich ów kwiatek-sierotę. Przyniosła z kuchni skąpe jakieś jadlo i stanęła przy stole, nieruchoma. Wzięła w ręce opłatek i spojrzęła wprost przed siebie, jakby szukając kogoś, z kim go przełamie. Piękne jej ręce

drżą. Zaraz po tym zaczynają drgać jej powieki. Anatomowie twierdzą, a my jesteśmy skłonni do przyznania im racji, że siedliskiem tych drzeń jest serce. Dlatego z niepokojem spoglądamy na panią, która, usiadłszy, tępo patrzy w pustą samotność. Widok jest dotkliwy, gdyż oczy jej napełniają się łzami. Ponieważ wszelkie rozczulenia są nam obce, rozpatrujemy zimno przedziwny fakt, że chociaż ludzie posiadają oczy najdziwniejszej barwy, lzy są zawsze jednakże: kryształowo jasne. Jakże wspaniałe spostrzeżenia można uczynić, obserwując ludzi samotnych!...

Senną ciszę ktoś zagnał zwinętą pięścią uderzył w samą pierś. Wspaniała ta metafora, przełożona na pospolitą mowę ludzką, oznacza, że gwałtownie i natarczywie ktoś począł dobijać się do drzwi.

Panna Wanda spojrzęła z lękiem w ich stronę. Książki przytuliły się do siebie, jak zastrachane kuropatwy.

Postać za drzwiami dała znać o sobie po raz drugi, do szaleństwa pięści dodawszy zwalisty okrzyk:

— Proszę otworzyć.

Głos był męskiego rodzaju i przypominał drut koleczasty.

— Kto tam? — zapytała panią, zbliżywszy się ku drzwiom.

— Wszystko jedno, kto... Niech pani otworzy!

— A jeśli nie otworzę?

— Wtedy wywalę drzwi!

Miedzianowłose kobiety nie boją się ani myśli, ani mężczyzn, że zaś przezorność nie umniejsza bohaterstwa, nie można się dziwić, że panią upewniła się szybkim spojrzeniem, czy po grzebacz od pieca znajduje się w wygodnym pobliżu. Potem nagłym ruchem otworzyła drzwi.

— Co się stało? — zapytała. — Czego pan żąda?

— Najpierw tego, żeby mnie pani wpuściła.

— Dobrze. A potem?

— Potem będzie awantura.

Usunęła się, aby uczynić miejsce śnieżnemu balwanowi. Przybysz przyniósł na zgrabnej postaci najmniej dwadzieścia centymetrów śnieżystych

Zofia Kossak

Cud przed

— Ty to zawdy gapa do niczego! Nigdy nie zadzwonisz w czas!... — dogadywał ze złością Michałko Wawrzonów.

— Zabaczyłem — tłumaczył się Jaśko.

— Pomnij se, by to był ostatni raz, bo cię spierzewa, że ha!

— Nie zabaczę.

Jaśko Żmuda, wysoki, piętnastoletni wyrostek, górował o głowę nad towarzyszami i zapowiedz malców, że go spiera, mogła wydawać się śmieszna każdemu, kto nie znał jego łagodnej potulności. W rzeczywistości snadnie się to mogło zdarzyć.

„Niezguła, ani do czego” — „Wielki jak chojar, a głupi jak baran” — taką była jednomyślna opinia o nim całego Zalesia.

Teraz kroczył uroczyście z gromadką chłopców od chaty do chaty, przedstawiali bowiem „Herodów”. Pospieszili się i wyszli zaraz po posiłku, czyli wilii, by zebrać plon sławy i podarków zanim przyjdą jutro „Herody” z Szerokiej Woli, sławne gębacze, które zwykle całą okolicę obchodziły, nie dopuszczając ze sobą rywalizacji. Pierwszy to raz chłopaki Zaleskie zebrały się przedstawiać same. Udało im się nad podziw. Szerokie, złotym papierem oklejone pasy Heroda, „feldmar-

opadów, wedle terminologii instytutu meteorologicznego. Pannę Wandę zaniepokoiło to, że jedną rękę ukrył poza sobą, jak gdyby w niej dzierzył kij, lub rewolwer.

— Niech pan mówi prędko, czego pan chce?

— Sprawiedliwości, — wrzasnął gość.

— Czy pan jest pijany?

— Jeszcze nie, a przyszłość pani nie obchodzi.

Ponieważ nacierał na nią, cofnęła się do pokoju.

— Proszę się nie zbliżać, bo zacznie krzyczeć...

Obok są ludzie!

— Owszem! Niech przyjdą... Mnie też potrzebni są świadkowie.

Ponieważ śnieg gwałtownie tajał na jego wąsach i rzesach, z powłoki balwana zaczął wyłazić wcale przystojny młodzien, co znacznie uspokoiło panią.

— Jeśli bandyta, to dzentelmen — wlamywał — pomyślała z uznaniem. — Myślę, rzekła głośno, że należałoby zdjąć kapelusz.

— Ja go wcale nie zdejmę!

— Dlaczego?

— Bo nie mogę... Niech go pani obejrzy!

Dziwny kapelusz dziwnego gościa dziwny przedstawiał widok. Wyglądał, jak Jerycho po awanturze z trabami, jego twarda kresa stała się pojęciem całkowicie oderwanym. Zdawało się, że właściciel kapelusza brał udział w srogiej bitwie, w której wróg zawziął się tylko na okrycie głowy.

— Istotnie — mówiła panią, — pański kapelusz uległ katastrofie. I nie może go pan zdjąć?

— Za chwilę spróbuję, a jeśli sam tego nie dokąże, pomoga mi w komisariacie. Zresztą sama pani zobaczy to przedstawienie, bo pani pójdzie tam ze mną.

— Ja? Czy pan istotnie nie jest pijany?

Czego pan chce, do licha? Niech pan się wynosi, bo ja zawołam policję. Co mnie obchodzi pański głupi kapelusz?!

— Powoli, miła pani... Po pierwsze: mój kapelusz nie może być głupi, a po drugie: to pani go zrujnowała... A ja nie kupuję kapeluszy w kawiarni, dając stary za nowy. Rozumie pani?

— Nie rozumiem. Do widzenia... Właściwie nie „do widzenia”, tylko z Panem Bogiem... Zdaje mi się, że pańska głowa poniosła przy sposobności jakąś dotkliwą szkodę. No? Wyjdzie pan, czy pan nie wyjdzie?

Awanturnik spojrzęła na nią z bezbieżną zniechęconą litością, po czym nagle wysunął rękę spoza pleców.

— Co to jest? — wrzasnął urągliwie, jak prowincjonalny szatan.

— Ryba! — z największym zdumieniem szepnęła panią. — Karp...

— Istotnie, karp. Pani go zna, oczywiście!

pasterką

szala i trzech przybocznych rycerzy lśniły „jak prawdziwe”. Polyskiwały drewniane srebrzone pałasze. Korona niegodziwego króla sterczała groźnie w górę ostrymi zębami. Spód wywróconego włosem na wierzch kożucha okrywającego diabła, zwieszał się długi i prawdziwy krowi ogon. Wymolony na gębie sadzami, z rogami z tektury, szatan ten szczał łaucuchem i szturchał przechodzących widłami. W długiej po pięty koszuli i masce z białego papieru, towarzysząca jego śmierci kołała zgrzyźliwie kosą, i zagadnięta piszczała cienkim, przenikliwym głosem. Rycerze huczeli basem. Jaska, zwanego Niezgula, zabrali ze sobą, bo pięknie śpiewał — nosił przy tym za nimi płachtę rozpiętą na dwóch dragach, stanowiącą kulisy. Ukryty za nią w czasie przedstawienia ciągnął wysoko, a tak żałośliwie, że gospodynie wdychały:

...Oj biada, biada, mnie Herodowi,
Utrapienemu wiele królowi...
lub też hucznie i buńczucznie, że aż szyby
drżały w oknach:
...Dziś dzień Herodzie ,dziś dzień
bogaczu,
Dziś dzień wesela ,ale nie placzu...
Dzwonił także zawzięcie, niby na po-

— Pan jest naprawdę pijany...
— Najwyżej jestem otumaniony nagłym uderzeniem w głowę. Tę rybę rzuciła pani na mnie przez to okno. Ta ryba należy do pani i, gdyby umiała mówić...
— O, Boże! — szepnęła panienka, spojrzawszy szybko poza siebie. — Ach, rozumiem... Położyłam rybę na oknie, a ryba była żywa...
— I popełniła samobójstwo? Pierwszy wypadek na świecie... Więc pani przyznaje, że to byłoby należy do pani?
— Przyznaje...
— I to pani widzi, że ta głowa i ten kapeluszek należy do mnie?
— Nie ma wątpliwości co do głowy... Bardzo pana przepraszam za ten wypadek... Kapeluszek, oczywiście, odkupię panu, ale dopiero po świętach...
— Słusznie. Co jednak będzie z moją głową?
— Czy pan jest ranny? — zapytała niespokojnie.

— Jeszcze nie wiem, gdyż nie mogę zdjąć kapelusza. Kilogramowy pocisk z wysokości trzeciego piętra, należy do kategorii pocisków ciężkich. W tej chwili jestem jako tako przy zdrowych zmysłach, jutro jednak może się rozwinąć zapalenie mózgu. Co mam zrobić z tą przeklętą rybą?

Panienka wzięła ją ze zgrozą w ręce i, zawnąwszy w gazetę, położyła na krześle.
— Zobaczymy teraz pańską głowę — rzekła s lekkim uśmiechem.

Połączonymi siłami udało się uwolnić znieważoną głowę od twardego kapelusza.

— Rozlatuje się? — zapytał groźnie gość.
— Jeszcze nie... Twarda głowa ma swoje zalety. Ochi!

— Co panią tak zdumiało? Krew?

Panienka spojrzała na niego bystrzej, zmrużywszy oczy. Znikł uśmiech, błąkający się koło jej ust. Zanim wypowiedziała słowo, zamręziła je na lodzie.

— Krew?... Nie, poszę pana... Teraz widzę, że to madra była ryba! Szukała wody i ujrzała pańską głowę. Nie mogła jej znaleźć nigdzie w większej ilości. Teraz żałuję, że to ja sama, własnoręcznie, nie rzuciłam jej panu na głowę i to razem z żelaznym garnkiem... Żałuję z całego serca!

Awanturnik patrzył na nią ze zdumieniem.

— Co to wszystko ma znaczyć?

— Nic. Byłam zdziwiona przez chwilę, dlaczego pan włożył się po ulicach o tej porze, kiedy wszyscy siedzą w domu, przy wigili. Teraz rozumiem... W żadnym uczciwym domu nie chcieli pana przyjąć... Niech się pan nie leką, odkupię panu kapelusze! Ale to wielkie nieszczęście, że nie (Dokończenie na str. 10—11)

żar, gdy na scenę wkroczył miał anioł z głośnym pochrzęstem bibułkowej szaty, wieszającym, że to anioł jest nie byle jaki. Z tym dzwonieniem jednak była biada, bo zawsze się spóźniał, za co mu towarzysze obiecali lanie.

Zdążyli już obejść zamożniejsze chaty; i sakwy potrząsającego olbrzymią konopiastą brodą dziada, pełne były smakolyków, gdy Heród-Michalko rzucił myśl doniosłą:

— Jakbyśwa teraz zaszli do Białkowa?

— A zdążywa wrócić przed Pasterką?

— O reta! dyć w trzy pacierza tam i nazad wróci!

— To ci Woleńskie się zdziwi!

Ruszyli szparko przez wieś, skupioną, cichą, ale pełną ruchu. Jasne kwadraty oświetlonych okien kładły się ciepło na zoranym kolejami śniegu. Wokoło każdej chaty snuli się zwolna, obrzędowo ludzie sprawijący misteria Godowe. Gospodarze obkręcali drzewiny w sadach powróślem ze słomy i siana, a potem, przypożywszy siekiere do drzewa, pytali grzyźnie, za li będzie rodzić? — Podejrzliwe staruchy wyzierały przez okna, czy sąsiadka nie podrzucił śmieci na podwórko, by pchły i inne robactwo do nich od siebie na cały rok wywieść. Dziewczęta, z łyżką nieobartą w rękę, stawały przy płocie nasłuchując skąd pies wprzód zaszczeka, co nieodmiennie wróżyło z tamtej strony swaty. Gospodynie poily krowy i inną żywnię wodą, w której rozkruszony był święty opłatek. Parobczaki wiazali kućki czyli trzaskawki do batów, opatrując wozy, bo wiadomo, na pasterkę trza jechać co siły w koniach, a szczęśliwy, który pierwszy stanie przed kościołem. Dzieciaki pełne trwogi lecz ciekawe, wsuwały się cichaczem do obór podsłuchać, jak bydlę mówi ludzkim głosem. Wesola Maryśka od Kurków przechwalała się przed rówieśniczkami gałęzią wiśni, która w wilię św. Andrzeja zerwana i do butelki z wodą na piecu wsadzona, rozkwitła cudnie dziś właśnie. Dziewuchy z zazdrością oglądały wiotki kwiat drżący na zimnie jak płateczki śniegu i patrzyły na nią jakby na już zaręczoną. Starzy gospodarze powróciwszy z sadów ciskali w izbach owies z miodem do pułapu, z ilości przylepiających się do belek ziarn wróżąc urodzaj chleba. Ponad wszystkimi zaś tymi zabiegami leżała w górze ciemna noc, cicha, uroczyzna, wielka, wyzłocona tysiącnymi świekami gwiazd, pełna czekania i świętości Godów. Noc usprawiedliwiająca wszystkie czary i zaklęcia, ku pozyskaniu błogosławieństwa Bożego wiodące, skoro w tę samą noc właśnie, przed wiekami, zjawił się ciałem żywym Cud najczarowniejszy, ziściła najdziwniejsza, największa Tajemnica.

Chłopcy szli szybko przez niewielki las, śpiwając dła rozgrzywki i skrócenia czasu:
...Leży, leży Jezus malusiński.
W szopce zimno, a On nagusieńki...
Przyszła Panna ,siankiem Go okryła.
Taka pościel Jezusowa była...
A tobie co? — spytał nagle ze zdumieniem Antek, oglądając się na Jaska.
— Czego buczysz, ty przyglupku?! Z mrozu chyba?
— Strasznie mi Dzieciątka szkoda...
— wyszeptał Jasek, — ocierając lzy rękawem.
— Bez co?! — aż stanęli ze zdumienia.
— Na zimie... psiaka byś nie wygnał, a Dzieciateczko leżało...
— Et! dyć se teraz króluje w niebie

Pan Jezus, nie biada Mu...

— Ale co się wpierv nacierpialo niebożatko... reta!

— Sam tak chciał...

— Właśnie bez to mi szkoda, że sam chciał...

Tłumaczył Jasek, ale nie zwracali już na jego gadanie uwagi. Gdy ruszali, Mi-chalko-Heród ogarnął go wzrokiem i skrzywił się niechętnie.

— Oberwanyś, jak dziad... zauważył.

— Ano — przyznał Jasek, spoglądając na siebie z zakłopotaniem.

— Wstyd w obcej wsi się pckazać... Białkowskie pomysły, że w Zalesiu wszystkie takie...

— To ostanie — zaproponował Jasek — kto płachtę poniesie?

— Antek niech dźwiga.

— To już lepiej niech on idzie — buntował się Antek. Przedstawiał żyda i płatał się w długim chałacie. Pejsy z pakulów zwieszaty się śmiesznie obok zatroskanej twarzy. — Niech idzie, za płachtą go przecie nie widno...

— Cicho! na drodze go za płachtą nie skryjesz...

— Nie poredzicie śpiewać same...

— Ojej! poredzimy! Wroć se Jasku, wróć...

Zawrócił, bynajmniej nie urażony. Oberwany był, bo był — co tu gadać. Łokcie wylaziły na wierzch wśród frędzlistych dziur, kolana dawno wypchnęły się na świat Boży. Skądby mogło być inaczej? Służył za sam wikt i przyodziewek. Dwa lata temu gospodarz dali mu ten lejbik, galancie go przedtem znosiwszy. Od ciężkich naręczy drzewa, od pracy ciągłej, nieoszczędnej, samodziół rozlaźł się na nic. Sam gospodarz uznawał, że przyodziewek parobka jest już trochę kiepski i obiecywał, że na przyszłe Gody zbierze się może na nowy.

Szedł więc lasem, śpiwając zrazu, lecz milczenie wokoło było tak wielkie, las tak uroczysty, że zmiłkł, bo raził go własny głos. W niezmiernej ciszy slychać było tylko czasem, jak czapa śniegu zsunie się z gałęzi, spadając miękko. Idącemu przyszło na myśl, że przecie nie warto wracać do Zalesia, skoro i tak trza niedługo iść do Woli na Pasterkę. Stąd do Woli znacznie bliżej. Pójdzie, nie śpieszący się, i w zaciszu gdzie pod płotem zaczeka, aż na mszę zadzwonią.

Nie minęło parę pacierzy, gdy wyszedłszy z lasu zobaczył rozszarpane światła wsi Szeroka Wola. Kościół czerniał na wzgórzu, zamknięty jeszcze i nieoświecony. Czasu było dość. Przysiadł więc na rozkładających się nisko po śniegu gałęziach młodego świerku, wtulił w gościnną głąb drzewa i siedział spokojnie, chuchając tylko raz w raz w ręce, bo mróz brał siarczysty. Siedząc, nucił sobie cichutko kolędę i spozierał co chwila na kościół. A raz tak spojrzawszy drgnął nagle i przetaił uważnie oczy. Wydało mu się, że przed wejściem coś połyska. Przetarł ponownie oczy i wstał, wytyżając wzrok. Na tle zamkniętych wrót kościelnych drgła światło jasne, ciepłe, tak dziwnie ku sobie przyzywające, że Jasek ani się namyślając począł iść ku niemu. Ono zaś rosło w miarę jak szedł, rozszerzało w kształcie kręgu, aż objęło całą framugę wejściową. Gdy zbliżał się powoli, niby urzeczony, nie wiedzący sam co czyni — zdało mu się, że rozróżnia w tym jasnym okręgu promienniejsze od światła postacie.

(Dokończenie na str. 14)



Delegacja dzieci kawalerów orderu Łączpleśisa u Prezydenta Państwa dr. K. UŁMANISA



Refi



Na prawo: Prezent dla Aizsargów lotewskich od przyjaciela w Anglii gen. Berta



Na prawo: Prezydent USA Roosevelt przegląda pocztę codzienną

Z lewej: Ci, którzy zmarli w r. 1936: Z lewej od góry: król Egiptu — Fuad, premier Węgier — Gombosi, król Anglii — Jerzy V; u dołu: lord admiralicji angielskiej — Butti, premierowie Grecji — gen. Kondylis i Wenizelos



Kornel Makuszyński

Latająca ryba

(Dokończenie)

kupiłam jakiejś ogromnej ryby, żeby pana była załukła na miejscu. Czemu pan tak otworzył usta, jak bramę? Pan się nazywa Kosiński? Tak?

— Tak... Pani mnie zna?

— Zdzisław?

— Zdzisław...

— Szkoda pięknego imienia dla człowieka takiego, jak pan. Pan powinien nosić jakieś katowskie imię, jeśliby istniało specjalne imię dla wybitnych przedstawicieli tego fachu.

Gość stał osłupiały, jak „tam na polu jawor stoi”. Patrzył na nią ze zdumieniem, jakby zatrużony, że z miedzianych jej włosów furia za chwilę wytryśnie jasnym płomieniem. Miętosił w rękach zdruzgotaną rozpacz kapelusza, a obcłała głowę usiłował wtłoczyć między ramiona, jak człowiek, chroniący się przed gradem. Nie mógł zebrać myśli, bo karp - samobójca cokolwiek zamącił ich siedlisko. Coś sobie jednak przypomniał... Gdzieś już widział te włosy, oczekujące roztopioną miedzią i te bystre oczy... Odbywała się jakaś uroczystość... Zaraz. Zaraz! Ta panienska odziana była w czarną suknie, a gdy nagle ruchem zniżyła głowę w ukłonie... Ach, tak... To z pewnością ona... Poznał ją doskonale. Po premierze jej dramatu napisał nazajutrz:

„... Zamiast krwi — sama woda, nie dziwota przeto, że w tym żywiłe ludzie odznaczają się mało błyskotliwą inteligencją ryb... Czemu jednak

nie milczą?... Aha! Zato dostał przed chwilą po łbie — rybą i dlatego panienska wpadła w szal. Sprawiedliwość nie da się ocyganić...

— Malpa jestem — pomyślał. — Jak ja mogłem tak skrzywdzić to śliczne stworzenie?

Spojrzał na nią z nagle rozrzuwaniem. Panienska miała na twarzy wypieki było to luna tego pożaru, co huczał przed chwilą i miotał ogniste słowa. Widać, brakło mu już palnego materiału. Burzące działo wystrzeliło pocisk gniewu i umilkło, nie mając amunicji. Jedno było groźne: oto miedzianowłosa, przekonawszy się, że ładownica śmiertelnych słów jest pusta, mogła „uderzyć w czynów stal”, chwyciwszy ciężki pogrzebacz. Sądząc z kierunku jej spojrzenia, myśli ta nie była jej obca.

— Rybę wytrzymałem — pomyślał okrutny krytyk, — pogrzebaczowi nie dam rady... Trzeba uprzędzić atak.

Nagłym ruchem zdjął futro i rzucił je na krzesło.

— Co pan robi? — krzyknęła panienska.

— Jak pani widzi — zostaje! — odparł zuchwale.

— Tak? Będę musiała pańskie malpie futro wyrzucić za panem na schody.

— Proszę pani! — mówił jakby nie dosłyszawszy. — Pani mnie poznała, a ja poznałem panią. Ja napisałem źle o pani, pani usiłowała zgładzić mnie ze świata. I to jak?! Niżej pani przyzna, że rachunki zostały wyrównane!

— Ja panu nigdy...

— Ani słowa! — krzyknął. — Pani mówiła przez pół godziny, teraz ja będę mówił. Niech pani usiadzie!

— A wie pan...

— Wszystko wiem. Proszę nie przerywać. Niech pani nie patrzy tak poządlawie na to żelazo, bo przecież nie będzie pani dobiłać ciężko rannego. Jest pani stworzeniem okrutnym, ale nie do tego stopnia. A ja... Kto wie, czy mnie jutro nie zabiorą do szpitala, skoro się okaże, że mi ta ryba nadwyrężyła mózg. A tak, tak, proszę pani... Jestem wprawdzie jeszcze przytomny, ale wszystko dokola mnie kręci się i wiruje. Gdybym zemdlął, niech mnie pani nie ratuje... Adres w portfelu... Proszę nie przerywać! A teraz niech mi pani powie: czemu pani ma czerwone oczy?

Panienska patrzyła na niego, jakgdyby nie jutro dopiero miał oszaleć, lecz uczynił to już dzisiaj.

— Nie mam wcale czerwonych oczu! — krzyknęła, ale słabo.

— Owszem. Pani płakała... Czemu pani płakała? Pani, oczywiście, nie odpowie, więc ja pani powiem: samotność panią gryzie. Proszę nie przerywać! Było pani niewypowiedzianie smutno samej, przy tym oplatku. Nawet ryba wyskoczyła oknem... Najbardziej jest człowiek, kiedy jest sam. Wobec tego spotkało panią niewypowiedziane szczęście, że ja się tutaj zjawiłem. Doskonale,

ektorem po świecie



Na lewo:
Obraz Winogradowa:
Cichy wiośniak



Na prawo:
Obraz Winogradowa:
Nad Daugawą w
Krasławiu

U dołu:
Prasa lubi kawały. Oto jeden ze współpracowników angielskiego pisma, fotograf i matorstwa, przygotował portret, do którego wziął czoło Stalina, oczy Kemela Atatürka dyktatora Turcji), wąsy Hitlera oraz usta i odbródek Mussoliniego. Na prawo widzimy ładnie rezultat tego rodzaju zestawienia poszczególnych części twarzy „najsilniejszych” mężów Europy



że się pani uśmiecha... A ponieważ ja też jestem sam na świecie, zapewne dlatego, że od krytyka ucieka każdy, jak od morowej zarazy, bardzo będzie rozsądnie, jeżeli wigilię zjemy razem.
— Ja z panem?
— Jeśli pani pragnie liczniejszego towarzystwa, niech pani ciśnie raz jeszcze tę rybę przez okno. Zaraz się ktoś zjawi, nie należy jednak liczyć po raz drugi na przyjazny przypadek, zamiast bowiem osoby tak pod każdym względem wymarzonej, jak ja, może tu zjawić się jakiś gbur, co połamie meble.
— Wie pan... Widziałam ludzi zuchwałych, widziałam bezczelnych, ale czegoś podobnego... To potrafi tylko krytyk... Dość żartów, niech pan...
— Siada? Dziękuję. To pięknie z pani strony. Nigdy jeszcze nikt mnie nie prosił uprzejmiej. Droga panno Wando — Wanda, nieprawdaż? — wiedziałem, że samotny człowiek nie zginie w wieczór wigilijny pośród dobrych ludzi. Strasznie pani jestem wdzięczny, chociaż zaproszenie było cokolwiek gwałtowne i nieco bolesne. Czas już jednak wielki, aby się przełamać oplatkiem.
Wziął w ręce oplatek, zgasił wesoły uśmiech i z drżącą powagą zbliżył się ku niej.
— Niech każdy dzień pani będzie radosny... Niech pani nigdy nie będzie samotna... A teraz, niech pani będzie dobra... słodko dobra... Bądź kobietą o, kobieto!... Oto oplatek... A to jest święta rzecz...
Spojrzał z bliska w jej oczy z pokorną, uniżoną, ciepłą prośbą. Naprawdę był wzruszony, a w oczach miał tkliwość.
Ona poczuła w sercu jakieś lekkie szarpnięcie. Jej ciężki wróg stał przed nią, ale katowska jego dusza zapewne przed nią kłęczy. Miły jest ten straszliwy opryszek... Usta mu drżą i ręce drżą... Nie bądźże zawzięta, o, serce kobiecie!... Jego samotność przyszła pocieszyć jej samotność... Jest wigilia... Serce sercu zapomina wszystkich krzywd i uraz.
Bezwolnie, jakby urzeczona, wyciągnęła rękę.

— Niech panu... Niech pan... Co ja panu powiem?
— Proszę mówić: „Niech i pan nigdy nie będzie samotny...”
— Dobrze. Niech i pan nigdy nie będzie samotny!
— Niech pan znajdzie wielką, wielką miłość. Proszę powtórzyć!
— To jest złe życzenie, ale niech ją pan znajdzie. Już koniec?
— Nie jeszcze... Ale zaraz będzie koniec. Proszę mówić: — „i niech pan jej nie szuka bardzo daleko, bo już ją pan znalazł!”
Ona spojrzała na niego z przestachem.
— Wszystko jest zimne... — mówiła szybko.
— Niech pan już usiądzie. Ach, zapomniałam zupełnie... Przecież jest ta... ta ryba. Zaraz ją przrządę...
— Nigdy! — krzyknął. — Przenigdy! Jest to szanowna ryba, godna stanąć w historii obok tej, co połknęła Jonasza. Nie pozwolę uczynić jej krzywdy... Niech pani pozwoli, abym ją zabrał i zasuszył sobie na pamiętkę.
Panna Wanda dała spokój rybce.
Usiedli naprzeciwko siebie. On patrzył na nią jasnym, szczęśliwym wzrokiem, ona patrzyła w stół. Gdy zaczęli spożywać dary Boże, czynili to w dość dziwnym porządku, na jej talerzu bowiem znalazł się równocześnie i tort czekoladowy i śledź, śmiertelnie zdziwiony tym nieoczekiwanym spotkaniem. Milczenie tak drżało między nimi, jak czasem w spiekocie lata drzew nagrzane, złotym pyłem przesiane powietrze. Kiedy wreszcie on przemówił, jej się zdawało, że ktoś do niej przemawia z oddali. Z wysiłkiem łączyła zasłyszane słowa w zrozumiałą sens.
— ...A ja musiałem tak napisać... Ludzie z pani dramatu mówili o wielkiej miłości... Złe mówili... Pani coś niecoś o niej słyszała, a oni powtarzali to, wierząc pani. Zostali oszukani, gdyż pani nie znała prawdy. Pani nie widziała jeszcze swojego własnego serca... Jak można mówić o dalekim kraju, w którym się nigdy nie było? Jak można pisać o wielkim cierpieniu, ukłuszy się szpilką w pa-

lec? Jak pani mogła mówić o straszliwościach, które mieszkają w głębi serca, ledwie zajrawszy do niego przez różową szybkę? Jedna lza własna więcej nauczy człowieka, niż cała biblioteka... Miłość jest drzewem potężnym, nie aksamitnym kwiatkiem... Dlatego życzę pani jeszcze, aby panią ogarnęła taka dotkliwa miłość, co pali, jak ogień pali... Czy pani mnie słyszy?
— Słyszę...
— Niech z serca pani popłynie krew... Dopiero tą krwią napisze pani dramat... Perfumami pisać nie można...
— Tak... tak...
Mówił jeszcze bardzo, bardzo długo, jak gdyby był płatny „od słowa”.
Spojrzała na niego głębokim spojrzeniem i, podniosszy się, podeszła do biurka. Wyjęła z szuflady zwiłek cienkich kartek i wrzuciła je w paszczę pieca.
On patrzył ciekawie, potem rzekł spokojnie:
— Dramat? Rozumiem... Wymknęła mi się ofiara. O, chytra kobieto! Kiedy pani zacznie pisać nowy?
Po jej oczach przeleciał jasny błysk.
— Jutro! — odrzekła głośno.
Śmiało patrzyła w jego oczy, gdy odchodził po długich godzinach, dreszcz jednakże przebiegł po niej, gdy całował jej rękę.
— Ja tu powrócę — rzekł cicho.
— Wiem o tym — odpowiedziała.
Jego już dawno nie było, a ona stała długo, zapatrzona w drzwi. Rozchyliła usta w szczęśliwym uśmiechu i nagle uczyniła coś, czego nie zanotowały dotąd medyczne sprawozdania wszystkich psychiatrów świata: ująwszy w ręce smętne włoki karpia — samobójcy, ucałowała je czule i z przy-ciskiem.
Wiele jest chwiejnych prawd na bożym świecie, lecz prawdą, ponad wszystkie wątpliwości stwierdzoną, jest ta, że na kobietę przychodzą czasem takie chwile, kiedy musi kogoś ucałować. Po raz pierwszy w dziejach świata przedmiotem tej niewysłowionej tęsknoty stał się wylupiasto - ok karp. Zadrgał, chociaż był martwy.

Zofia Kossak - Szczucka

Beatum

Jakże te czasy różne od obecnych...

Ale Waśc pragniesz wiedzieć, co było dalej z Madonną? Zdarzyło się tedy, że papież Pelagjusz Drugi, usłyszawszy, iż patriarcha carogrodzki Eutychnusz dzieło przeciwne zmartwychwstaniu ciała publikuje, wysłał do niego w legacji Grzegorza, z klasztoru Benedyktynskiego na Monte Celio opata (późniejszego papieża, zwanego Wielkim i świętym). Iżby wymową swoją patriarchę o błędzie przekonał, a do powrotu do prostej wiary naszej skłonił. Było to roku Pańskiego 581, — towarzyszył zaś Grzegorzowi święty Maksymjanus, później biskup Syrakuz, dziewiątego czerwca patron. W Carogrodzie bożem zrzadzeniem zastał Grzegorz świętego Leandra, arcybiskupa hispańskiego, który w delegacji do cesarza Tyberjusza z kraju Wyzygotów, od Rekareda, syna Leowigildowego, przybył. — Niezwyčajny i zgola na ziemi niewidziany afekt złączył tych dwu świętych mężów.

Bywa czasem pomiędzy wybranymi duchami takowa nagła sympatja i jakaś, lubo w odległości, duszy komunikacja, nie tylko filozofom, ale wszystkim świata całego mędrcom, cale niewiadoma, będąca snadź zadatkiem owej przyjaźni wiecznej, w niebie między nimi trwać mającej. Podobna miłość serdeczna tak Grzegorza opata z Leandrem arcybiskupem złączyła, że jedną duszę i jedno serce zdali się mieć, żadną miejsca dystancją ni przeszkodą nierozdzielne.

Krótko przebywali wspólnie, cale życie krajów i mórz obszarem rozdzieleni, a przecie zawsze jeden znał drugiego każdą myśl i czucie. Mówiono, iż w noce pogodne wychodzili w pałacach swoich — ów w Rzymie, tamten w Sewilli — na wieże, a wtedy ze świętych ich głów tryskały promienie, które wędrowały w ciemność, szukały się wzajem, a znalazzły, leciały wzajem ku górze. Wiadomo zaś powszechnie, że był na usługi ich gołąbek, niewątpliwie mocą nadprzyrodzoną obdarzony, który nieustannie z Italji do Hiszpanji latał i listy wiernie prznosił.

Rok 584 nadchodził, gdy patriarcha Eutychnusz, żarem Grzegorzowych słów przekonany, błędy rewokował, dzieło hereetyckie spalił, a śmiertelną niemocą złożony, ujął w prawą rękę dłoń lewą i uroczyscie rzekłszy: „Wierzę, iż w tem ciebie zmartwychwstanę” — Bogu ducha oddał. Wraz i archidiacon Wawrzyniec przybywał z Rzymu wzywać do powrotu świętego opata. Naówczas Maurycjusz, Tyberjuszowy następca, ofiarował Grzegorzowi cudowną Łukaszową statnę Bożej Rodzicielki, by ją papieżowi w dowód katolickiej prawowierności monarchy z wyrazami obediencji i posłuchu odwiózł.

Wawrzyniec Maselli, życia Najświętszej Marji Panny przelśnawny historyk, powiada, iż Grzegorz stanął szczęśliwie wraz ze statną w Rzymie roku Pańskiego 585. Zgadza się z nim Ludwik Nonnius. Wszystkie fakta, które cytowałem, jako też i te, które w ciągu narracji cytowane będą, potwierdzają Szentjwani i Antoni Belinghem. Podobnie wspomina o nich Jan Maricetta, a obszernie i dokładnie opisuje głośniejszy od innych Fryderyk Henriquez de Ribeira. Również Jan Nadazy, w Księdze Roku Niebieskiego. Przytaczam onych starych autorów, iżbyś widział Waśc, że nie opowiadaniem baśni jakowejś cię karmie, lecz rzetelną historyczną prawdą...

— Nigdybym nie wątpił w autentyczność słów Waszej Eminencji, jeno wdziwić się nie mogę niezwykłej Jego erudycji i niepowszedniej nauce. Wyjątkowa to rzecz tak dokładnie znać one barbarzyńskie czasy, które najwięksi nawet uczeni chętnie zazwyczaj przemijają.

— Barbarzyńskie czasy! — o ludzka ślepoto!

— Sądzilem... — rzekł pan Sapieha zmieszany.

— Sąd to powszechny, mości Wojewodo! Wszyscy nasi filozofowie też same żywią poglądy... Że poprzednie wieki stawiam wyżej niż kultury greckiej odrodzenie, za szaleńca-by mnie okrzyknięto — ignoranta, barbara. Tylko stanowisko kardynała nadrono, życzliwość, jaką mnie zaszczyca Ojciec Święty, wstrzymują głośnie tych sądów wypowiedanie. — Czasy te owszem były barbarzyńskie, ale czy dzisiejsze niemi nie są? czy były kiedy inne? Ludzkość jest barbarzyńska w samej istocie swojej, w ciele i krwi, i taką pozostanie wiecznie, aż do dnia, w którym Królestwo Boże nastąpi a materja stanie się duchem. Modyfikacjom podlega jeno forma barbarzyństwa i wzajemna sił proporcja. Były wówczas zbrodnie, wielkie zbrodnie, ale byli zato Święci, wlecy Święci. Dziś mamy dużo małych zbrodni — i ani jednego świętego... Przychodzi mi nieraz na myśl, że ta sama suma zła i dobra pozostaje wiecznie na świecie, a zmienia się tylko jej podział i układ. — Na Piotrowe klucze! nie chciałbym słyszeć słów moich powtórzonych z kazalnicy, i nie bierz grabio tego, co powiem, za pryncypja moje jako duszpasterza. — ale tańc nie będę, że wołę dziesięciu zbrodniarzy i jednego Biedacznę z Assyżu, niż dziesięciu medalnie sprawiedliwych ludzi, z których żaden nie dopuści

się zbrodni, ani nie wzniesie do istotnej cnoty. Nie jestem pewien, czy Bóg nie woli również... Jeden święty może odkupić tysiąc grzeszników, dziesięciu letnich nie zdoła zbawić nawet samych siebie. Jako uczonego i miłośnika piękna, więczej zajmują mnie tamci, i kocham minione barbarzyńskie wieki za ów chaos pelen wzniosłości i nędzy, w którym borykali się szatani i Święci...

W ustronnem studio zapanowała na chwilę cisza. Słońce zeszło niżej i cienie wydłużyły się w ogrodzie. Na kościele św. Piotra uderzyły dzwony niesporne, — wraz odpowiedziały im inne, i przez czas pewien muzyka dzwonów trwała nad Wiecznem Miastem, aż drżało od niej powietrze.

Gdy umilkły, kardynał znów podjął:

— Po śmierci papieża Pelagjusza, Grzegorz, opat z Monte Celio, jednomyślnym ludu całego zapalem na stolicę Piotrową był obrany i przemocą na niej osadzony — roku Pańskiego 590.

O niezapomniana, iście wielka postać!... Nie będę Waści mówił o dziejach jego papiestwa, gdyż muszą być ci znane, również o cudach w całym świecie głośnych. On wybawił z piekła duszę cesarza Trajana za litość tegoż nad ubogą wdową. On z Chrystusem Panem i Matką Bożą rozmawiał, on nakoniec pozostawił liczne księgi, z których najwięksi mędrycy dotąd wiedzę czerpią. — Trzy lata chwałebnie zasiadał na Stolicy Apostolskiej, gdy przyszła nań ciężka boleść, umiłowany brat i druh serdeczny, Leander, arcybiskup hispański, zachorzał na ciele i duszy. Niemało się nabożował z wieloma wrogami, szarpał i walczył gwoli utrzymania całości Kościoła, aż stracił siły i wiarę. Przyszedł czas, że duch w nim ostygł, ciało zaniemogło, i odrętwiały leżał, członka żadnego nie czując, a o zbawieniu duszy i Bożem miłosierdziu wątpiąc. Już promienie jego duszy nie spotykały w drodze myśli Grzegorzowych. Latał srebrny gołąb, latał, ale odpowiedzi żadnej nie przynosił. Przybył morzem biskup Probin, od Rekareda, króla Wyzygotów, z obediencją dla Ojca Świętego i darami. Onże posel przywiózł zarazem wiadomość o Leandrowej niemocy. Jakże cierpiał wtedy Grzegorz! Dniem i nocą rozmyślał, jakim słowem albo podarkiem dźwignąć przyjaciela i uzdrowić jego duszę. Aż wspomnił na Łukaszową cudowną statnę, tęż samą, przed którą niegdyś z Leandrem w Byzancjum wiecznej przyjaźni zamieniali śluby, — i świętość tę choremu bratu posłać postanowił. Iżby jednak Rzymu utratą tak cennej rzeczy nie krzywdzić, kazał wymalować obraz, któryby był posągąj najwierniejszą kopją, i ten na miejscu ostatecznym. Któż miał ten wizerunek najświętszy malować? Byli artyści malarze uznani za biegłych. Dla nas, znających dzieła późniejszych mistrzów, obrazy ówczesne wydają się być wlece nieudolne. Wtenczas takimi nie były. Jednakże Grzegorz Wielki, pod natchnieniem Bożem będąc, nie powierzył tej pracy żadnemu artyście, jeno świętemu Augustynowi, opatowi Benedyktynów, późniejszemu apostołowi Brytanji. Nie konfunduj go Waśc ze świętym Augustynem filozofem, biskupem Kartaginy, iż świętej Moniki uproszonym synem.

Święty Augustyn opat nie był malarzem. Znał pędzel o tyle, że długie psalterze i modlitewniki zdołał cudnie w barwiste obrázky. Ale ze duszę i ręce miał czyste, żadnym uczynkiem lichym nie splamione, przeto jego właśnie wybrał mądry papież, by dzieło świętego Łukasza na płótnie odwirowył. Nim przystąpiono do pracy, prosili obaj Boga goraco, by pokierował niewprawną i niegodną dłonią. Zaczem Ojciec Augustyn zasiadał przed płótnem, a papież pochylony w kacie trwał na żarliwej modlitwie. Mijały długie godziny, — modlił się jeden święty, malował święty drugi. Mrok powoli zapadał, ale wołko niech był obłok światłości, iż nie spostrzegali wieczoru. Świadkowie byli wtedy, co widzieli, że Ojciec Augustyn, malując, miał oczy zamknięte, a jakaś niewidzialna siła suwała dłoń jego po płótnie. W ten sposób, w ekstraordinaryjnie krótkim czasie, powstał przedziwnej piękności obraz Madonny,

scelus

od Grzegorza Gregorjańską zwanej, — ten sam, któryś niedawno oglądał. Obraz umieszczony został u Panny Marji, Większą zwanej, zaś statuetkę oddał papież biskupowi Probinowi, by ją Leandrowi odwiózł.

Niezwykle są odtąd jej dzieje, — opowiadanie ich więcej nad dwie doby by zajęło. Powiem tylko w krótkości, iż cudowny ten posąg morską nawałnicę, z furją szalejącą, uśmierzył, zdrowie Leandrowi przywrócił i cudów niezliczonych dokazał. Do dziś dnia niema za Pirenejami świętości, któraby większą cześć i poszanowanie odbierała niżli owa Madonna Łukaszowa, Gwadelupeńską nazwana.

Nie zwlekał długo Bóg, aby okazać, że łaski szczerze posągowi udzielone przelał nieskwapo na obraz, według niego malowany. W najbliższe bowiem Wielkanocne święto, w kościele Panny Marji Większej, przy uroczystej wielkiej mszy papieskiej, na słowa papieża: Dominus vobiscum — anielskie głosy odpowiedziały od stropu: Et cum spiritu tuo. Zaczem w długie wieki trwał zwyczaj, dekretem papieskim postanowiony, że Najwyższym Pasterzom, solenizującym o onej bazylice, słów tych nie odpowiadano, dla zachowania od niepamięci takowego cudu.

Ten był pierwszy dowód łaski i mocy obrazu cudownej, a wprędce zobaczono inne.

Roku Pańskiego 601 wybuchła w Rzymie zaraza morowa, złośliwsza niż wszystkie, jakie pamiętano. Był to rodzaj zarazy zwany przez medyków inguinale, tem dziwny, że człowiek chorobą tknięty przez kilka dni jakoby całkiem zdrow chodził, a dopiero gdy ziewnął lub kichnął, straszliwe go porwały bóle i całe posiniawszy, umierał. Dlatego gdy usłyszano wieści kichnięcia, mówiono z litością: „Niech ci Bóg da zdrowie” — który to zwyczaj przetrwał do naszych czasów. W tym roku strasliwym wymarło więcej niż połowa ludności. Szeregami stały domy otwarte i puste, w których nieopgrzebane, szerniałe leżały trupy. Ci, których choroba oszczędziła, uciekali w góry. W całym Rzymie woda zatruta była jadem i cuchnąca, a od ukąszenia much, na trupach przesiadujących, powstawały na ciele obrzydłe i śmiertelne wrzody. Wówczas siedziwy papież Grzegorz Wielki święty wspominał procesję w Byzancjum, w czas trzęsienia ziemi, o której niegdyś mu opowiadano, i z obrazem Madonny wyruszył procesjonalnie naokoło miasta. Jak niegdyś w Carogrodzie, tysiące zatrwożonych ludzi szło za Matką Bożą. I pieśń śpiewali tę samą, co wówczas. Aż gdy czoło pochodu dosięgło grobowca Hadrjana, ujrzeli wszyscy przytomni na szczycie postać Anioła, ognisty miecz, miecz gniewu Bożego, chowającego do pochwy. Od tej godziny ni jeden człowiek nie padł już od zarazy, zaś Moles Hadriani lud zaczął nazywać Kastellem Świętego Anioła.

Cud za cudem, dziw za dziwem szły przez całe wieki. Nie będę wymieniał ich wszystkich. W siedemset zgorą lat później, za papieżstwa Klemensa VI, w Awinjonie więzionego, znów Rzym nawiedziła zaraza, trzy lata nieustannie trwająca. Dziesiątkowała ona ludzi do chwili, kiedy na rozkaz przysłany od Ojca Świętego Madonnę Gregorjańską, jak niegdyś, wokół miasta uroczysto obniesiono. — A kto by zliczył pojedyncze uzdrowienia, modły wysłuchane, favory specjalne, za wstawieniem Jej najwyższemu uzyskane! . . . Kosztowne wota, któremi zawieszona jest, dość dowodnie o nich świadczą.

Tusze też, że zrozumiałeś Waśc nakoniec, iż żądaniem swoim w konsternację i gniew słuszny Ojca Świętego wprowadziłeś? Zaiste, któżby przypuścić mógł nawet, żeby na szalone cudzoziemca — bodaj najdosłojniejszego — obligacje, Rzym z takowej starożytności, Senat i Lud z tak wiekiego skarbu, Watykańskie progi z dawnego zaszczytu wyzuc pozwolono, i to za osobistym Ojca Świętego konsensem?

Madonna Gregorjańska di Guadelupe w Rzymie od tysiąca zgorą lat stoi i wieki jeszcze stać będzie. Tu Jej pełne chwwały siedliśko, tu przez Nią obrany przybytek. Żadna moc ziemską

stąd Jej nie zabierze . . . Pojmujesz-że Waśc teraz, jak nieopatrznie było twe żądanie?

- 4) — Pojąłem, i Ojca świętego supliką inkomodować nie będę — odparł Wojewoda z powagą.

ROZDZIAŁ II

Messer Baptista Corbino był długoletnim zakrystjanem papieskiej kaplicy i graczem zapamiętałym zarazem. Od niepamiętnych już czasów demon gry trzymał go mocno w swych szponach. Co gorsza, był graczem niefortunnym, urzeczonym, za którym niezmiennie wlokła się zła karta. — Toteż, pomimo zyskownego stanowiska, w wieczystej był nędzy. Miał gdzieś po świecie dorosłe dzieci, o które się nie troszczył, a one nie troszczyły się również o niego. Pozostała mu tylko żona, stara, wysuszona jędrza, która nie szczydziła mu przy każdej sposobności razów, a nie nazywała inaczej, jak synem osła i świni, pokurczem djabełskim i hańbą całego miasta. Z rękami wzniesionymi ku niebu, zdumiewała się zgiełkliwe a często nad niesłychanym zaślepieniem Ojca Świętego, mogącego znieść taki plugawy stwór w swej kaplicy. Łagodny z natury Baptysta uciekał co szybciej od tych wybuchów żoniny, na które zresztą rzadko się narażał. Służba kościelna i kości pochłaniały cały jego czas.

Był pobożny, ale miał żal do Madonny i Świętych za stały brak szczęścia w grze. Modlił się żarliwie godzinami, całował relikwie, ocierał o nie brudne chusty i ręce, poczem szedł do szynku pod Zieloną Gwiazdą, pełen nadziei, która zawodziła go zawsze. Ważną rolę w jego życiu odegrał astrolog Lamponi, który postawił mu horoskop. Jak na dłoni ukazało się wtedy, że Baptysta musi się oddawać szlachetnej namiętności hazardu, gdyż narodziny jego wypadły w chwili, gdy Ziemia wchodziła w znak Saturna i Merkurego zarazem. Wytwarła zaś niepowodzenie spowodowane było nieprzyjaznymi wpływami Skorpjona i Wagi. Zła dola miała się zmienić dopiero, gdy Baptysta rzuci na szalę szczęścia nie mniej stu dukatów. Od tej chwili Fortuna będzie biegła w jego ślady i umrze bogatym człowiekiem. Po tym horoskopie Baptysta, który pił często, upił się z rozpaczy podwójnie. Przez całe życie nie przeszło mu przez ręce sto dukatów, on zaś miałby mieć taką sumę odrazu na stawkę?! — Nie ocierał się już o relikwie, ale zabierał je ze sobą, wyjmując ostrożnie z relikwiarzy i odnosząc rano nieznanie z powrotem. Stałe nosił przy sobie krew świętego Hipolita w ampułce, świętego Antonina męczennika kostkę, świętej Weroniki zęb trzonowy. Prócz tego nosił także wysuszony grzebień czarnego koguta, szczykę nietoperza i skarabeusza wyrzniętego w karbunkule, który to kamień jedna Fortuna oddała złe uroki. Wszystko to jednak nie pomagało. Powodzenie było mu stale przeciwne, choć okręcał się z krzesłem trzy razy, pluł do sufitu i dwoma palcami strząsał uroki na podłogę, nie zaniebując także stukania w spód stołu.

Towarzysze z pod Zielonej Gwiazdy nie chcieli z nim grywać, odkąd nie miał czem płacić, i witali obelżywymi krzykami, podobnemi do tych, któremi przyjmowała go słodka małżonka. Baptysta tracił zdrowie ze zmartwienia, żółtki, wysychł, i poważnie rozmyślał zaczynał, czyby się nie udać pod opiekę djabła, skoro tyle relikwii przeciwko złej doli posiadał nie może. Byłby to już nawet uczynił, ale mu brakło odwagi.

Wiadomość, że dostojny i hojny pan cudzoziemski, któremu Ojciec Święty tyle zyczliwej laskowości okazywał, pragnie z nim się widzieć, spadła na Baptystę niespodziewanie. Pierwszem jego uczuciem był strach. Nie wróżył sobie nie dobrego po tem wezwaniu. Dawnemi czasy nieraz używali go panowie cudzoziemscy, żądni dowiedzieć się czegoś z poufnych słów papieża. Ale Baptysta, pochłonięty swoją namiętnością, nie wiedział nigdy nic. Brakło mu zmysłu do pięknych, zawitych intryg politycznych, w których celowała większość jego ziomków. Nie miał za obola wyobraźni. Nie umiał do jednego podsłuchanego słowa dodać dziesięciu i takowych jedenastu drogo sprzedać. Toteż ciekawi, którzy liczyli, że za jego pomocą chwycą nieci sekretnych zamiarów papieża, rychło rozczarowani odprawiali go z niczem, a nieradko z nawiązką szturchańców. Od paru lat nie wzywał go nikt. Miał już powszechnie utartą opinię nierozgarniętego głupca, myślącego jedynie o kościach. Być może, że dlatego właśnie trzymał go Ojciec Święty, zamykając oczy na wszystkie wady swego zakrystjana.

Teraz szedł niepewnym krokiem za roslym kozakiem Demianem, walcząc między ciekawością a chętką zbiegnięcia w którykolwiek z ciemnych zaułków poprzecznych. Nakoniec doszedł do gospody przy ulicy del Popolo; jakaś silna ręka pchnęła go do izby, — napół mrocznej, napozór pustej. — gdzie stanął, coraz więcej zdziwiony. (DCN)

Zofia Kossak

Cud przed pasterką

(Dokończenie ze str. 9)

Aż oto dojrzał: bez złołku, lecz na kamiennym progu, leżało Boże Dzieciątko. Nie miało nawet słomy podesłanej, ledwo zawinięte w potarganą zgrzebną szmatę. Dokola główki drżała obrączka świetlista. Oczęta były stulone. Cyt... cyt... zasnęło Boże Dzieciąteczko...

Świat zniknął z przed oczu zachwyconego, uniesionego w niebiosach chłopaka. Klęczał bez słowa, wpatrzony. Ani zauważył, kiedy światło się zaćmiło, rozwiwały mgłą jasną postacie. Ale Dzieciątko uspięne zostało. Spojrzył Jasiiek, a ono drży z zimna przez sen. Sinieje liczko małuchne od chłodu. Składają się już do płaczu w żalną podkówkę usteczka. Trzęsą się maleńkie piąstki, zaciśnięte tuż przy twarzy. Patrzy się Jasiiek i serce skowyczy w nim z żalu. Płacze dusza nad niedolą Boga. — A toć u mnie za pazuchą byłoby mu cieplej... — myśli. Wyciąga ręce, ale nie śmie tknąć. Dyc że to sam Pan Jezus! Modli się z płaczem: — Darujże mnie niegodnemu, Paniecu niebieski, że Cię za moją dziurawą kapocinę považam się wraźci... Juźci nie z pychy to czynię, jeno że mróz bierze... Nie karz mnie, Panie, za śmiałość... — Ujmuje ciałko maleńkie ostrożnie, lekko, układa na swojej piersi pod zgrzebną koszulą. Okrywa z wierzchu kapotą, osłania rękami. Cyt... cyt... nie zbudziło się Dzieciątko... Przenika go jasność, szczęście nieznanne, skrzydlate... Uleci chyba z swym skarbem do nieba...

Sam nie wiedział, wiele czasu stał tak, nie pomny na jakim jest świecie, — gdy tuż za nim rozległy się kroki. Ksiądz starowina szedł sprawdzić, czy Jasielka są ustawione w kościele jak się patrzy. Zawrócił od drzwi zakrystii, ujrzawszy stojącego nieruchomo przed głównym wejściem chłopaka i podszedł ku niemu, niespokojny, zali jakiego figla nie zamysła.

— Co tam trzymasz? — zagadnął. — Groch może chcecie z chóru na ludzi sypać, gałgany?

Jasiiek obrócił ku niemu twarz jasną, jak zorza.

— Cicho... Pan Jezus... wyszeptał.

— Dziecko?! — zdumiał się staruszek, zajrzawszy mu za kapotę. — Skądęś je wziął? Czyje to?...

— Pan Jezus... — powtórzył chłopiec, uśmiechając się anielsko.

Ksiądz spojrział na niego badawczo.

— Chodź — rzekł krótko, wiedząc go na plebanię.

Weszli do jasnej, cieplej kuchni.

— Skądęś je wziął? — powtórzył.

— Na progu... To Pan Jezus jest! — dodał z przerażeniem, bo gospodyni krzyknęła: laboga! dziecko! odebrała mu bez ceremonii maleństwo, które uderzyło w placz.

— Cichaj! cichaj!... dam ci mleczka... — kołysała je.

— Na progu znalazłeś?

— Na progu... Pod lasem siedzący, patrzę, — a tu światło błyska przy kościele... Podejde... O retal!... W jasności Matuchna Boża i Józef stary i ono Dzieciątko podle... Jak w szopce, jeno żywe... Ale kiej jasność zniknęła, za pazuchem Je wziął, bo marzło... — powiedział półgłosem, na pół przytomny.

— Jakisik papier! — meldowała gospo-

dyni, wyciągając z płachty kawaleczek szarego papieru.

Niezdarnym, krzywym pismem napisa-
ne było na nim:

... Trzy miesiące ma... — Krzczone jest...
Oleś mu na imię..."

— Podrzucono jakąś nieszczęsną sierotę, z nędzy pewno, łącząc na to, że ludzie na Pasterkę idący znajdują... — myślał głośno proboszcz. — La, coż, Pan Bóg w taki wieczór zesłał, trzeba je będzie po chrześcijańsku wychować.

— Juź się mleko grzeje...

Skulony w kącie płakał Jasiiek, nie z tego nie rozumiejąc. — Jaki Oleś? Jakie dziecko?... Toć widział Pannę Najświętszą... — Łzy gorzkie kapaly mu na spracowane ręce, gdy proboszcz wyciągnął go z kąta i do swego pokoju zaprowadził.

— Czego płaczesz?

Umiałby to powiedzieć, czego płacze? Płakał za cudem rozwianym. Za szczęściem, które mu się snadź jeno przyśniło. Lecz staruszek objął go ramieniem, jak synaczka.

— Spod lasu jasność ujrzałeś? — dopytywał.

— Ano, spod lasu... — wyjąkał przez łzy.

— I widziałeś Panię Najświętszą?

— Jako jegomości widzę!... — grzmotnęła się w piersi z rozpaczą.

— Nie śniło ci się?

— Jakże! ani mnie drzymota nie zbierała... Zrazum szedł, a pod górkę tom tuż na kolanach lał, stąpając nie śmiejąc... Na śniegu ślad musi być...

Ksiądz zamyslił się głęboko.

— Tedy ci powiem, chłopcze, żeś łaski wielkiej dostąpił... Sprawiedliwieś Pana Jezusa oglądał... Bacz! Zostawiono dziecko na mrozie i byłoby zmarzło na szczęć, nimby się ludzie na nabożeństwo poschodzili... Pan Jezus się ulitował... Sam tym dzieckiem, niby szenie porzuconym stał się, jak przed wiekami... Juźci tak było, nie inak... Jasnością wezwał cię z lasu... Potem se odszedł do nieba, ujrzawszy, że sierota bezpieczna...

— Rychtyg... rychtyg... tak było pewnikiem... — przywtarzał Jasiiek, promieniejąc.

— Uczciwe masz widno serce, zaś tego zaszczytu dostąpił... I czyste... Mój Boże! niejedną cały wiek się stara, modli, a takiej łaski nie ogląda... O parę kroków tu siedzę, a nie widziałem... Ha, Pan Jezus wie najlepiej, kogo wybrać... Szczęśliwyś, chłopcze... szczęśliwy...

Spojrzał na Jaska serdecznie.

— Czas już dzwonić — rzekł, powstając — dziękuj Bogu, miłuj Go... A ludziom lepiej nie gadaj — dodał na odchodnym.

— dyc — przyznał z przekonaniem Jasiiek. Uśmiechnął się sam do siebie. — Ludziom gadać? po co!? tyłkoby się naśmiewali...

Złożył głęboko w ubogim sercu swoje wielkie szczęście, jak skarb, mający opromienić i ozłocić długie, szare, żmudne życie — i nigdy nikt w całym Zalesiu nie domyślał się, że Jasiiek sierota, oberwaniec, przyglupek, niezguła — Pana Jezusa raz w Gody, jak św. Antoni z obrazu, piastował.



Jasielka na dworze św.
Kingi

Rys. Andriejlego

AMANGARA KOLUMNĄ MŁODYCH

Albin Salcewicz

Książka — przyjacielem *(lub wrogiem, tyciocielam, skodnikiem)*

Przyjaciół mamy dużo. Nie mówny o bliźnich. Towarzyszem człowieka możemy nazwać psa, konia lub inne jakieś oswajone zwierzę. Ale ci towarzysze nie dają nam inteligentnej rozrywki w postaci konwersacji, wymiany myśli różnorodnych i t. d. Przyjaźń człowieka ze zwierzęciem ogranicza się wyłącznie do cech zewnętrznych. Ale tego nam nie wystarcza. Musimy mieć przyjaciela, któryby, w razie samotności duchowej, mógł prowadzić z nami rozmowę na tematy od smarowania butów począwszy aż do najzawilszych abstrakcyj włącznie. Któż jest tym wyręczyteliem w chwilach samotnych? Oczywiście — książka. Jest to martwy, a jednocześnie tak żywy, przyjaciel! Jej niewyczerpane stronicie obejmują wszystko, co mógł człowiek myśleć i czynem ogarnąć. Mamy potrzebę wylania swych uczuć przed Bogiem — idziemy do kościoła i bierzemy książkę do nabożeństwa. Albo: zaniemo-gła nam świnia, owca czy stał się inny nagły wypadek, bierzemy inny rodzaj drukowanego pisma i szukamy w nim odpowiednich ustępów, dotyczących choroby. Pragniemy gdzie pojechać? — I na to są odpowiednie książki: rozkłady jazdy, lotów i t. d., przewodniki i inne. Słowem w dzisiejszych czasach bez książki nie możemy się prawie obejść. Jakże było przedtem? Oto, gdy nie było jeszcze druków, wymiana myśli odbywała się drogą rękopisów. Dzieła naukowe, modlitewniki, kroniki etc. odpisywano odręcznie i rozprzestrzeniano po innych krajach. Masie rozumieć tacy drukarze — przepisywacze nie mogli nastarczyć, by zaspokoić coraz bardziej rosnące potrzeby kulturalnych ludzi. Dlatego to, jeśli chodzi o czasy starożytne i średniowieczne, oświata ogarniała jedynie jednostki, bądź klasy bogatsze — grupy najszczęśliwsze. Znajomość pisma rzadko przedostawała się do szerszych i uboższych klas społecznych, które stanowiły mieszczaństwo i włościanie.

Ówczesny analfabeta musiał posiadać wszystko w głowie a ponieważ głowa człowieka nie jest duża, więc trudno było o szerszy zakres znajomości i wiedzy. I po części dlatego rozwój umysłowy w starożytności, jeśli się naogół rozwijał, to jednak w czasach zburzeń, cofał się często i ludzie na nowo musieli przypominać i od-rabiać wszystko to, co umysł przodków zdołał już wytworzyć. Wiek XV jest okresem wynalazków, które pełnię ludzkość na nową drogę rozwoju. Lecz nie proch, ani magnes stworzyły doskonałe warunki rozwojowe dla cywilizacji europejskiej. Przede wszystkim — książka. Za jej pomocą rozpowszechnione zostało genialne odkrycie Kopernika, za jej też pomocą kraje dzieliły się wspólnie zdobywanymi rozum ludzkiego. Wszystko to, ważniejsze, rozprzestrzeniano drukiem. Przy niskiej cenie, w jakiej się kalkulował nowowynaleziony papier i druk, książka nie była już bynajmniej własnością tylko magnatów i co bogatszych mieszczaństwa, ale powoli rozpowszechniała

się coraz bardziej wśród uboższych warstw społeczeństwa. W związku z tym podnosi się ogólny poziom oświaty i kultury. Na początku drukowano jedynie rzeczy ważniejsze, np. biblię, psalterze i t. d. Lecz później książka stopniowo ogarnia wszystkie dziedziny życia umysłowego, aż zapanuje niepodzielnie tak, że nie możemy już dzisiaj wyobrazić sobie, w jaki sposób można by było bez niej się obejść. Rozprzestrzenieniem wiadomości i aktualności zajęło się obecnie radio, ale i w tym zakresie nie można się obejść bez książki, bowiem nie wystarczy usłyszeć raz pogadanki na żywo nas obchodzący temat by już całkowicie go ogarnąć. Chcąc pogłębić jakąś kwestię, czy zagadnienie życiowe, nie można obejść się bez książki, pomimo istnienia radia. Tego naszego przy-

jaciela nie usunie zapewne nikt. Pozostanie ona zawsze przy nas, by służyć nam większej chlubie świata, iaka jest — rozum ludzki, który jednocześnie jest i wynalazcą tego naszego przyjaciela — książki.

Takie myśli przychodzą mi do głowy, gdy zbliża się 500-letnia rocznica wynalazku Gutenberga. Dużo dziś mamy książek. Niektóre z nich już nie są aktualne. Starą książkę o pewnych zagadnieniach zastąpiły już nowe, obszerniejsze, bez błędów. Jednak nie należy jej niszczyć. Musimy dla niej mieć cześć za to, że w swoim czasie wychowywała całe pokolenia. Niech dziś pozostanie dokumentem przeszłości, dokumentem dziejów kultury ludzkości, jako nieodstępny towarzysz mądrego człowieka.

Na tropie harcerskim

Człowiek człowiekowi — bratem

Jesteśmy przywódcami młodego, idącego w przyszłość pokolenia. Wychować je mamy na dzielnych obywateli. Idea braterstwa i miłości bliźniego, przyniesiona na świat przez Chrystusa — musi być przez nasze pokolenia o większy znowu stopień zrealizowana. W ustosunkowaniu się do bliźniego, kierujemy się oceną wartości moralnych. Miłość człowieka, prawda życia z ludźmi jak z braćmi, jest dla nas nakazem, zwłaszcza wtedy, gdy nasze otoczenie o tym zapomina.

Baden-Powell w miesięczniku „Jamborec” pisze tak o czasach dzisiejszych: „Strach i obawa rządu dzisiejszym światem, zazdrość i nienawiść między narodami, niezgoda wewnętrzna, a nawet wojny między rodakami — odrwał od religii, od wszystkiego, co uważa się za honorowe, powrót do prymitywnego barbarzyństwa — oto warunki, których jesteśmy świadkami w tych dniach nowoczesnej tak zwanej cywilizacji”.

Skaut jednak łamie trudności, pokonywa przeszkody biegu życia. — „Zwalczajmy” — jak mówi na tym samym miejscu Baden-Powell — „zaufaniem i odwagą zło dnia dzisiejszego — aby jutro stworzyć szczęśliwy świat”. My, harcerze, walcząc o nasze jutro, pamiętajmy o naszym dziś.

Jako drużynowi, twórzmy taką atmosferę w drużynie, by wszyscy w drużynie

byli braćmi, dajmy chłopcom tyle przeżyć, by wymiana ucisków dłoni zespoliła ich trwale, by nauczyli się mówić wspólnym językiem w sprawach, dotyczących życia człowieka, oraz w sprawach naszego społeczeństwa.

Uczmy chłopców „kochać się wzajemnie”. Najlepszą drogą do tego — umiłowanie przez nas tej gromady chłopaków, powierzonej naszemu wodzowaniu.

Jeżeli nauczymy ich wzajemnie się miłować, pomagać sobie wzajemnie i rozumieć się, jeżeli nauczymy ich mówić wspólnym językiem — to spełnimy dobrze swoje zadanie. Zespolenie bowiem jest potrzebą naszej przyszłości. W tym kierunku wychowawczym musi iść nasza praca harcerska w najbliższych latach.

Dobry uczynek harcerski codzienny, drobna, przyjacielska usługa, zbiorowy dobry czyn dla bliźniego, potrzebującego pomocy — niechaj królują w całej pełni w naszej pracy szarej i codziennej.

Realizując czynnie ideę miłości Chrystusowej, podstawową zasadę Jego nauki, zamkniętą w naszym prawie harcerskiego braterstwa i miłości — stwarzać będziemy punkt wyjścia naszego społeczeństwa, w którym wszyscy wzajemnie się rozumieją i wszyscy dla ogólnego dobra pracują.

Doroczny wieczór

Państwowego Polskiego Gimnazjum w Rydze

odbędzie się 16 stycznia 1937 r. w lokalu

PAŃSTWOWEGO ROSYJSKIEGO GIMNAZJUM (przy Aku iela 10)

Kronika życia bieżącego

Walny Zjazd Delegatów ZPM

Jak i w latach poprzednich, Walny Zjazd Delegatów ZPM został zwołany na dzień 6-go stycznia 1937 r. na godz. 14 w Domu Polskim w Daugawpilsie.

Porządek obrad Zjazdu przedstawia się następująco:

1. Zagajenie
2. Wybór prezydium Zjazdu
3. Odczytanie protokołów poprzedniego Walnego Zjazdu
4. Sprawozdanie Zarządu Głównego

Ryga

Dotychczasowe wysiłki Chóru Maturzystów przy „Oświacie” wyraźnie uwypuklają znaczenie tego wysiłku, jaki podjęła młodzież, celem stworzenia w Rydze chóru polskiego. Chór powstał, chór żyje i pracuje, będziemy niebawem świadkami drugiego jego własnego koncertu.

Trzeba, ażeby ten wysiłek młodzieży poparło starsze społeczeństwo, przybawając jak najliczniej na koncert chóru. Obecność na koncercie to nie tylko poparcie materialne, udzielone młodym pionierom śpiewactwa polskiego w Łotwie. To, co najważniejsze, moralna aprobata poczynił naszej młodzieży w tym zakresie oraz świadectwo naszej z tych poczynił dumy i naszego zadowolenia.

Jakkolwiek młody co do wieku, bogaty jest już chór polski w Rydze w doświadczenie i sukcesy. Osiągnął je, bo na nie rzetelną pracą zarówno kierownika jak i wszystkich członków chóru — zasłużył. Trzeba, ażeby ten wysiłek młodych serc nie poszedł na marne. Wesprzeć trza młodych i młodym dopomóc. Pamiętajmy o tem, gdy nadejdzie dzień 3-go stycznia i gdy wszyscy pójdziemy na koncert.

Daugawpils

„SZOPKA” NA SCENIE TEATRZYKU KUKIELKOWEGO ZPM. Widowisko teatralne tematowo związane z okresem Bożego Narodzenia na scenę polską w Łotwie wschodziło nie raz jeden. Są to bowiem rzeczy pełne bogactwa dekoracyjnego, znane wszystkim dzięki wiekowej tradycji, a jednocześnie zawsze świeże i bliskie sercu każdego z nas. Teatrzyk Kukielkowy ZPM, wystawiając „Szopkę” na swej scenie, pokusił się jednak o rzecz niezmiernie trudną.

Patrząc na kukielki w „Szopce”, nie należy zapominać, że temat narodzin Chrystusa Pana znalazł bogate opracowanie w poezji ludowej i w starodawnym polskim obyczajku koledowania.

„Szopka” w ujęciu Teatrzyku Kukielkowego ZPM nie jest widowiskiem jednolitym, ma jednak, jeżeli nie ciągłość fabuły, to logiczny porządek rzeczy.

Rozpoczyna „Szopkę” scena w raju z Adamem i Ewą, która, skuszona przez węży, obarcza ludzką grzechem, niosącym w skutkach poniewierkę i nędzę ludzkości. Archanioł wypędza przewinionych ludzi z raju na tułaczkę i niedolę.

Już następna scena przynosi widza w okres zwiastowania Najświętszej Marii Pannie jej wysokiego postannictwa. I zaraz potem mamy przed sobą światłością jasną opromienioną noc na znak urodzin Pana. Pastuszkowie czynią alarm, nie wiedząc skąd taka luna, i wreszcie decydują wędrować do Betleem. Droga ich jest taka, jaką ułożyła fantazja ludu polskiego, a więc przez polskie miasta.

Nie będziemy jednak pastuszkom, ani trzem królom sekundować w ich wędrowce, jak to czyni widz na omawianym przedstawieniu kukielkowym. Znamy tą akcję. Jak znamy Heroda, który, w obawie o swą koronę, zażąda rzeź niewińców, by zładzić tego, co przyszedł królować nad światem. W szopce mamy to wszystko. I pokłon królów i adorację pasterzy.

Podkreślić natomiast należy doskonale to mu-

ZPM

5. Sprawozdanie głównej Komisji Rewizyjnej
6. Dyskusja i przyjęcie sprawozdań
7. Wybór:
 - a) Zarządu Głównego
 - b) Głównej Komisji Rewizyjnej
 - c) Rady Związku
8. Przyjęcie planu pracy i budżetu na rok 1937
9. Wolne wnioski.

zyczne całej akcji oraz, prócz znanych powszechnie melodyj niektórych koled, piękne — rzadziej spotykane — motywy śpiewne.

Cała galeria kukielek w liczbie 40 przesuwają się przed oczami widza, który może się nawet nie domyśla ile pracy pochłonęła każda taka kukielka zanim była gotowa do pokazania się w blasku kiniekietów na scenie.

Kukielki wykonał p. O. Natałko, który sztukę reżyserował, prowadził rozmowę z widzami i kierował całością widowiska. Stronę muzyczną miał w swej pieczy p. M. Nowicki.

2 przedstawienia świąteczne zgromadziły sporo widzów: na popołudniowym byli przeważnie dzieci, na wieczornym — więcej młodzieży i dorosłych.

Na zakończenie należy dodać, że była to jedyna polska impreza programowa w okresie Bożego Narodzenia w b. r. w Daugawpilsie.

Rezekne

ZAINTERESOWANIE WALNYM ZEBRANIEM FILII REZEKNEŃSKIEJ ZPM, zwołanym na dzień 20 grudnia, wśród członków było dość znaczne. Żywa wymiana zdań na aktualne tematy, związane z działalnością filii w okresie ubiegłym, co przyniosła wybory do nowego Zarządu — zaprzętają uwagę licznie zgromadzonych członków.

Na przewodniczącego przez aklamację został powołany prezes Zarządu Głównego p. Wł. Ichnatowicz.

Sprawozdanie za rok 1936 przedłożył prezes ustępującego zarządu p. M. Erdman, podsumowując działalność filii oraz wysuwając najważniejsze momenty aktywności. Filia niemal wyłącznie ograniczała się do życia wewnętrznego, utrzymując dość intensywną pracę w szeregu sekcji, jak sportowa (z kilku podsekcjami) świetlicowa i t. p. Działalność nazewnątrz ujawniała sekcja futbolowa filii „Sparta”, biorąc udział w szeregu rozgrywek ligowych. Parę obchodów narodowych, jeden odczyt zaliczyć można — obok systematycznie prowadzonej czytelnii — do przejawów działalności filii na polu kulturalno - oświatowym. Sprawozdanie kasowe odczytała p. W. Tomaszewiczówna.

Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej odczytał p. M. Giedroń-Juraha, stwierdzając stan sekretariatu i kasowości filii.

Sprawozdania wywołały dyskusję oraz wymianę poglądów. Poddano krytyce niektóre posunięcia Zarządu, wysunięto życzenia i wskazówki. W tej ożywionej wymianie zdań wzięła udział większa ilość osób m. in. p. p. Romanowski, Szewelówna, Tomaszewiczówna, Erdman, Surdeko, Salcewicz i inni. Wreszcie większością głosów został przyjęty wniosek o udzielenie ustępującemu zarządowi absolutorium z podziękowaniem za dokonaną pracę.

Wybory do władz filii odbyły się przewidzianą statutowo drogą tajnego głosowania. Z pośród

licznie zgłoszonych kandydatur w skład nowego zarządu weszły następujące osoby: p. p. N. Naruszewicz, M. Erdman, W. Tomaszewiczówna, A. Święcicki i Dukalski.

Dokonano również wyborów do Komisji Rewizyjnej i delegatów na Walny Zjazd ZPM.

Plan pracy i projekt budżetu filii na rok 1937 walne zebranie przyjęło do wiadomości, jak również szereg dezzyderatów, zgłoszonych ze strony obradujących członków.

Na zakończenie w obszerniejszym przemówieniu przewodniczący Walnego Zebrania zreasumował wyniki kilkogodzinnych obrad, szczególnie podkreślając momenty słusznej krytyki, nacechowanej myślą o najlepszym rozbudowaniu środowiska organizacyjnego, ostrzegając równocześnie przed stawianiem bezpodstawnych i lekkomyślnych zarzutów. Przed filią istnieją szerokie i niewykorzystane możliwości pracy społecznej. Nowy zarząd, poparty czynnym współdziałaniem wszystkich członków, ma duże pole do przejawienia inicjatywy i wykazania się pozytywnym dorobkiem. (es)

Pustine

WALNE ZEBRANIE CZŁONKÓW FILII ZPM zostało zwołane na dzień 20 grudnia ub. r. Chociaż i droga była zła i pogoda nieodpowiednia, na Zebraniu stawiła się dość duża gromada.

Z ramienia Zarządu Głównego ZPM na zebraniu był obecny kol. B. Cimaszkiewicz, który został zaproszony na przewodniczącego. Na sekretarza powołano kol. Wilhelma Juszkiewicza.

Sprawozdanie z działalności ustępującego Zarządu odczytał kol. Stanisław Marcinkiewicz. Ze sprawozdania wynika, że filia w ub. roku wykazała się dość dużą pracą, w porównaniu z rokiem poprzednim.

Sprawozdanie nie wywołało żadnej dyskusji i przyjęte zostało przez aklamację.

Znaczne ożywienie wniosły wybory do nowego Zarządu.

W skład Zarządu weszli: p.p. Stanisław Marcinkiewicz (prezes), Anna Mikulanówna (w. prezes), Wilhelm Juszkiewicz (sekretarz), Józef Marcinkiewicz (skarbnik), Janina Juszkiewiczówna (czł. zarządu).

W skład Komisji Rewizyjnej weszli: p.p. Kłajgin Jan, Witold Kopeć, Piotr Łaksa. Na delegatów na Walny Zjazd obrano: p.p. Stanisława Marcinkiewicza, Józefa Marcinkiewicza, Janinę Juszkiewiczównę, Witolda Kopcia.

Plan pracy przedstawił prezes ustępującego Zarządu. Kol. B. Cimaszkiewicz, w związku z przedstawionym planem pracy, w dość długim przemówieniu podkreślił współpracę członków z Zarządem, potem mocno podkreślił sprawę czytelnictwa wśród członków i zaproponował przeprowadzić „Konkurs dobrego czytania książki” oraz założenie sekcji kobiecej, co jednogłośnie koleżanki przyjęły.

O godz. 20 przewodniczący zebranie zamyka, nawołując do pracy członków filii w Nowym Roku. „Obecny”.

Liepaja

Polsko - Kat. T-wo Dobroczynności w Liepaj dn. 3-go stycznia 1937 r. o godz. 7-ej wiecz. w lokalu ochrony, Baseina 8, urządza wieczór z choinką. Zespół sceniczny ZPM filii Liepajskiej odegra „Jasełka” J. Taranowicza. Komitet Pań przy T-wie Dobroczynności urządzi herbatkę. Wejście według wolnych datków. Wszystkich uprzejmie zaprasza Zarząd.

W NIEDZIELĘ, 3-GO STYCZNIA 1937 R. W SALI CZARNOGŁOWYCH

oędzie się
≡ Koncert Chóru Maturzystów ≡

oraz występy solistów - członków chóru — pod batutą KAROLA IZARTA
 Przy fortepianie — JAN SUCHOW

W programie kompozytorzy łotewscy i polscy: Prof. Janis Mediņš, Jurjanu Andrejs, J. Witolis, St. Moniuszko, F. Nowowiejski, E. Mąkoszy, T. Jotejko, F. Rybicki, P. Czerniawski i inni. Bilety zawnazsu nabyć można u Neldnera (Aspazijas bulw. 2) oraz — w dniu koncertu — przy kasie.

SPRAWY KOBIECE

Cztery gatunki mam...

*Ważniejsze są rzeczy — „Boga nie wywołują”
to dzisiaj hasło
proletariatu
Ludzkim*

Różne są matki: dobre, złe, kochające dzieci i nie dbające o nie. Wiemy, że od wychowania w wielkim stopniu zależy dalszy rozwój dziecka.

W miesięczniku „Optymista” ukazał się ciekawy artykuł na ten temat. Artykuł ten rozróżnia 4-ry gatunki mam:

MAMA KOCHAJĄCA

W nocy nie sypia. Nadsluchuje. Jakoś dziwnie szybko oddycha jej synek. Wstaje. Dotyka jego czoła, czy aby nie ma gorączki. Ma, czy nie? Na wszelki wypadek nie pójdzie jutro na spacer. Lepiej zostanie dzień w łóżku.

Przed znajomymi skarży się: „Od czasu, jak urodził się mój mały, na krok nie mogę ruszyć się z domu. Lata już całe nie byłam w teatrze. Umarłabym z niepokoju co się z dzieckiem dzieje. Zresztą Zdzisio na chwilę mnie od siebie nie puszcza”.

Mówi to z dumą, pragnąc, by wszyscy podziwiali, jak poświęcającą się jest matka.

Innych dzieci do swej pociechy nie dopuszcza. Boi się zarażenia. Raczej sama się z dzieckiem bawi i wypełnia mu cały czas. W najlepszej wierze, w przekonaniu, że w ten sposób dziecko lepiej się rozwinię.

Gdy dziecko podrośnie, odprowadza je do szkoły (tramwaje!!! samochody!!!). Odrabia z nim lekcje. Chce mu być kolegą i powiernicą. A nie rozumie, że najbardziej oddana matka nie zastąpi towarzysztwa rówieśników. Chce jak najlepiej, ale nie potrafi dać pierwszeństwa rozsądkowi przed uczuciem. W rezultacie dziecko wychowuje się niby w złotej klatce, w której nie może się normalnie rozwijać. Jest wstydlive, mniej zaradne i gorzej przygotowane do życia, niż jego rówieśnicy. Bez pomocy mamy nie pokona najmniejszej nawet przeszkody.

Nie! Kochająca mama — nie jest ideałem mamy.

Przeciwnieństwem tego gatunku mamy jest:

MAMA OZIĘBŁA

Wychodzi z założenia, że dzieci nie należy rozpieszczać. Założenie to, skądinąd słuszne — doprowadza do absurdu. Wydaje jej się, że każdy pocałunek, że każde cieplejsze słowo wypowiedziane pod adresem dziecka, gubi w nim bezpowrotnie skromność i wywołuje zarozumiałstwo i niedbałość. Jest przeciwniczką „glupstw” i „tracenia czasu”. Żąda, by dzieci zajmowały się stale „czymś pożytecznym”. Ulubionym jej zdaniem jest: „najpierw praca — a potem zabawa”. W rezultacie dzieci nigdy się nie bawią. A nic przecież tak nie wychowuje i nie rozwija dziecka, jak zabawa. Zabawa bowiem daje dziecku szerokie pole do przejawienia własnej inicjatywy, pobudza pomysłowość i fantazję, uczy współżycia z innymi i umiejętności podporządkowania się ogółowi, dla wspólnych celów. Słowem, wdraża dziecko do karności. A przecież matce, o której mowa, o to właśnie chodzi. Zadania tego nie spełnia jednak żadną miarą jej strofowania. Przeciwnie, dziecko wiecznie karczone, czując nad sobą nieustanną kontrolę, nigdy nie chwalone, staje się nieśmiały, bez inwencji, zahukane. Lub, pozbawione ciepłej przyjaznej at-

mosfery w domu, będzie nieufne, podstępne, skryte. — Uczy się udawania, pozornej uległości i obłudy. I może właśnie wtedy, kiedy matce wydaje się, że już wychowała dziecko po swej myśli, jest ono najdalej od jej ideału.

Oto, jak po „spartańsku” pomyślana metoda dać może wcale nie spartańskie rezultaty.

Że oziębłe mamy dalekie są od doskonałości, jako wychowawczynie, nie trzeba zapewniać. Inny też rodzaj reprezentuje sobą:

MAMA NERWOWA

Ta mama przysparza wychowawcom najwięcej kłopotów. Nigdy nie wiadomo, co z niej za chwilę wybuchnie. Raz dziecko jest najcudniejsze, najzdolniejsze, najmiłsze — obsypuje je pocałunkami i pieścizkami — zachwytem nie ma końca! Za chwilę aura ulega radykalnej zmianie. Mama zapomniła już o niedawnych superlatywach. Nagle — dziecko staje się „nieznośnym bachorem”, który mamę „wpędza do grobu” od którego wrzasków „bębni w uszach pękają”. Niech da wreszcie mamie spokój, bo po łapach dostanie. A że dziecko rozszalałe poprzednimi pieścizkami nie uspakaja się — mama z całą energią wprowadza groźbę w czyn. Oczywiście krzyk, płacz — w domu wytrzymać nie można.

Ale o poważniejsze sprawy tu chodzi, o to, że normalne, zdrowe dziecko wytrącone zostaje z psychicznej równowagi. Dziś bawi się hałaśliwie patelnią — cudnie! Kiedy indziej ta sama zabawa wywołuje gwałtowny sprzeciw mamy. Dziś — zachwyty z powodu rezolucyjności dziecka przy gościach. Jutro wyrzuty za wtrącanie się do rozmów starszych. Wszystko zależy od „dobrego”, lub „złego” dnia mamy. Atmosfera jest zawsze naderżnięta elektrycznością. Nigdy nie wiadomo, kiedy nastąpi gwałtowne spięcie. Od czułości i przesadnej troskliwości — do niechęci i braku zainteresowania — jeden krok.

Rzecz jasna, że w podobnych warunkach dziecko nie może wyrobić sobie trwałych podstaw moralnych, niezachwianego przeświadczenia o tym, co dobre — co złe, co cenne, a co bezwartościowe, co piękne, co wzniosłe, co słuszne. Rośnie mały neurastenik, wierne odbicie nerwowej mamy.

JAKĄ MAMA BYĆ POWINNA?

Tu dałoby się bardzo dużo powiedzieć. — Na ogół trudno zarysować „ideał mamy”.

Pogoda i równowaga wewnętrzna — są to bodaj najważniejsze kwalifikacje na dobrą matkę.

Któż matka nie poświęciłaby wszystkiego, aby mieć dobre dzieci? Okazuje się jednak, że nie jest to wcale droga, wymagająca niebawiałych ofiar — wystarczy prosta umiejętność stworzenia dziecku atmosfery umiaru i pogody. Nie trzeba do tego czynić z pokoju dziecięcego ośrodka, dokoła którego cały dom się obraca. Przeciwnie „serdeczność bez egzaltacji i nadewszystko cierpliwa wyrozumiałość — oddadzą dziecku istotniejszy pożytek, niż nadmierne rozpieszczanie.

Taka matka opanuje w sobie również obawę, że dziecko zarazi się lub „nabierze złych manier”, bo wie, że obcowanie z innymi jest jedyną drogą do społecznienia małego obywatela, który inaczej wyrósłby na nieznośnego egoistę.

Naogół twierdzi się, że im więcej dzieci w domu, tym więcej kłopotu. Twierdzenie to okaże się niezupełnie słuszne, jeżeli matka potrafi nadać swym pociechom pewną formę nieskomplikowanej organizacji, polegającej na wzajemnym ich opiekunstwie. Jest to rzecz łatwa i dzieci chętnie się jej poddają. Paroletni opiekun młodszego braciszka pełen jest dumy i poczucia odpowiedzialności w obliczu włożonego nań obowiązku i z pewnością nie zawiedzie pokładanego w nim zaufania. System ten ociąża w wielkiej mierze matkę i pozwala jej na ograniczenie się tylko do kontroli — dla dzieci zaś jest świetną metodą, sprzyjającą rozwojowi instynktu społecznego i rodzinnego.

Tak więc wyrozumiałość i cierpliwość a nade wszystko pogoda i umiar cechować muszą prawdziwie nowoczesną matkę. Matkę przyszłych optymistów.

Ale co zrobić, że na świecie jest bardzo wielu (i będzie) pesymistów i pesymistek? Może dadzą się przerobić...

Kącik zachowy

Śpiewki i zabawy zuchów

PIEŚŃ BOJOWA

Drogę czynu ty nam wskaż,
Miły wodzu nasz!
Hetmań nam! Prowadź nas!
W każdą porę, w każdy czas —
Hetmań nam! Prowadź nas!
Hej! znak w górę wzniesmy swój
I za wodzem w bój!
Hetmań nam! Prowadź nas!
W każdą porę, w każdy czas —
Hetmań! prowadź nas!!!

BABCIA. Wódz przebiera się za babkę i bierze po dwie sztuki różnej wartości monet. Zuchy zaś, stojąc w kole, twarzami zwróceni na zewnątrz, trzymają ręce do tyłu. Babcia podchodząc do każdego prosi:

— „Zuchu, zuszku,
Ja cię proszę:
Oblicz starej
Babci — grósz!”

i wręcza kilka dowolnych monet. (Nie więcej jednak niż cztery). Zuch po emacku winien wszystkie obliczyć i powiedzieć „babci”, wiele i jakiej wartości ma monety. Babka stale zmienia ilość i jakość monet, a wyniki notuje.

HAFCIARZE. Wódz mając nożyce i papier mówi do zuchów:

— „Haftujem caczszki
Dzieciom na fartuszki.
Haftujemy cicho, składnie —
Kto najładniej? Kto najładniej?!”

i zaczyna wycinać, a zuchy za nim. Jest to wyrobienie zmysłu artystycznego

SWIECIDEŁKA. U sufitu na nitce zawiesza się, o 2—3 metry od podłogi, koło o średnicy jednego metra, zrobione z drutu i oplecione ładnie barwną bibułką.

Potym szóstki dzieli się na dwie równe partie i daje się im po dziesięć igieł choinkowych. Partie stoja naprzeciw siebie, po obu stronach zwisającego się koła. Mają one pudełka z rozrobionym mydłem. Zawodnicy zaś słomki do baniak mydlanych.

Losowanie decyduje, która partia rozpoczyna. Z niej „nadyma” bańkę jeden z zuchów i puszcza ją w górę. Wówczas cała partia przedmucha ją przez koło.

Gdy bańka przeleci, partia z drugiej strony rozpoczyna „kontratak”. Teraz bańka wzięta jest w dwa ognie. Po której stronie pęknie — ta partia przegrywa jedną igłę, którą zabiera wódz. Dalej puszcza ją zawsze zwycięzca. Za każdym razem bańkę nadyma inny zuch. Tak grają do wyczerpania igieł przez jedną ze stron. Dalej do gry przystępuje inna partia, która była widzima.

Przed tym jednak, na cześć zwycięzców, wszyscy puszcza ją w znak wodza bańki do góry. Wygląda rakieta taka przedcudownie.

Bańkom mydlanym przyglądają się chętnie nie tylko małe dzieci, ale i starzy. Zawody te przykuwają uwagę i emocjonują wszystkich.

Dla zwiększenia trwałości bańki mydlanej dodaje się do roztworu nieco olejku glicerynowego.

Przy świetle choinki i jarzących się zabawkach bańki nabierają fantastycznych efektów barwnych i tworzą z całością obraz jak z bajki.

Aleksander Anik-Nikończuk

Skład główny i wydawnictwo: Benedykt Juchniewicz w Daugawpilsie.

Cena Łs 0.50.

Kalendarz można również zamówić listownie w Redakcji przesyłając w znaczkach pocztowych Łs 0.60 (50. sant. cena kalendarza i 10 sant. kosztu przesyłki).

Ukazał się polski
Kalendarz kartkowy



KACIK POLSKIEGO ROBOTNIKA ROLNEGO

ŻYCZENIA NOWOROCZNE

Są chwile, kiedy myśl uporczywie, często mimo naszej woli, ulata do osób bliskich i drogich. Chwile te najmocniej musi przeżywać człowiek rzucony zrzędzeniem losu poza granice swego państwa. Wiele milionów Polaków przeżywa tęsknotę za krajem i swoimi najbliższymi specjalnie silnie w okresie Bożego Narodzenia, w te święta przepojone urokiem miłości rodzinnej. Jakże niejednemu musiało być smutno w wigilie, gdy nie mógł przełamać opłatka z tymi wszystkimi, od których oddzielił go los i twarde nakazy bytu!

Jest w Polsce piękny zwyczaj, iż w pierwszym dniu Nowego Roku składają ludzie znajomym i przyjaznym osobom życzenia. Każdy człowiek nosi w głębi swego serca tyle najskrytszych marzeń, tyle ma pragnień, które może nigdy nie zostaną ziszczone! Dają one jednak chęć do życia i są dźwignią naszych czynów. Póki mamy chociażby nadzieję, dopóty chcemy robić i działać, dopóty nie opuszczamy bezradnie rąk.

Marzenia nasze zamykamy głęboko w swojej duszy, jako najwęższy skarb. Człowiek z natury nie jest samotnikiem i każdy chce mieć przyjaciela, z którym mógłby się podzielić najskrytszymi myślami.

W dzień Nowego Roku jak gdyby zagładamy do duszy bliskich nam osób, chcemy odgadnąć ich marzenia o szczęściu, by złożyć starym zwyczajem swoje życzenia. Wydaje się, że jest to fakt błahy, niepozorny, ile jednakże kryje w sobie głębokiej treści! Idziemy wyboistą drogą życia, a lata mijają jak kilometry. I właśnie w tej chwili, gdy minęliśmy jeszcze jeden kilometr, gdy przed sobą mamy nowy odcinek drogi, gdy może być czujemy się osamotnieni w wędrowce w nieznanie — wtedy podchodzi do nas człowiek z dobrym sercem, wyciąga dłoń, okazuje przyjaźń i życzy, abyśmy właśnie na najbliższym kilometrze życia — t. zn.

Jak powstały jasełka?

Twórcą jasełek był święty Franciszek z Asyżu. On to uprosił w r. 1223 papieża Honorjusza, by mu pozwolił obchodzić święta Bożego Narodzenia w sposób dotąd jeszcze nieznanymi. Na uroczystości owe wybrano dużą grocie skalną w uroczym lasku, obok Asyżu. W grotcie tej ustawiono żłobek „dokola którego stanęli Marja z Józefem oraz aniołowie o tęczanych skrzydłach. Do żłobka przywiązano wółu i osła. Aby zaś w czasie ofiary uszy św. Boska Dziecina rzeczywistość była obecna, postawiono przed żłobkiem wspaniałe ofiary. O północy tłumy ludu przy świet-

w Nowym Roku — znaleźli to, czego najbardziej pragniemy.

Będę składać życzenia tym wszystkim, których co dnia spotykam przy pracy, z którymi wiążą nas wspólne przeżycia, wspólne radości i smutki. Będę składać życzenia Noworoczne bliskim osobom. I gdy tak myślę, kto dla mnie jest drogi i bliski, to widzę wszystkich Polaków: tych, co żyją w moim miasteczku, co żyją w smutnych czy wesołych naszych wioskach i miastach, rozrzuconych po całym kraju, a przede wszystkim tych, którzy żyją poza granicami Polski. Stanowimy przecież jedną, wielką, kilkudziesięcimilionową rodzinę i mamy wspólną, jedną, najdroższą, swoją — Ojczyznę.

Jedna Matka nas wykarmiła, jedne pola nas wykofały i jedno niebo widzieliśmy od dzieciństwa. Są i tacy, co Polski nie widzieli, lecz z krwi i kości są Pola-

kami i do nieznannej, lecz drogiej, Ojczyzny tęsknią, marząc o Niej, jak o kraju z bajki.

Otóż wszystkim swoim Rodakom w Łotwie — Polskim Robotnikom Rolnym — zasylam od krewnych, przyjaciół, znajomych i nieznanomych życzenia Noworoczne.

Życzę im, aby u sympatycznych Łoty-szów znaleźli dobrą gościnność, aby zdobyli dostatek i byli zadowoleni ze wszystkiego, co im życie przyniesie.

Niech rok 1937 przyniesie Wam, drodzy Rodacy z Łotwy, dużo szczęścia, niech on będzie tym odcinkiem Waszego marszu życiowego, na którym odnajdziecie wymarzone przez Was skarby.

Witold Rodziewicz

Wilejka-Powiatowa, 1 stycznia 1937 r.

Nasze odpowiedzi i listy do nas

A Rakiel — Krustpils. Przy liście Pana nie było znaczków na 60 santymów, które są potrzebne na opłacenie kalendarza. Widocznie zapomniał Pan je do listu włożyć. Czekamy.

Kazimierz Timofiejew — Wentspils. Polski kalendarz kartkowy może Pan otrzymać w Redakcji „Naszego Życia”. W tym celu należy przesłać do nas 60 santymów (można w znaczkach pocztowych), za które kalendarz odwrotną pocztą Panu przesyłamy.

Książkę o pierwszej podróży „Batorym” przez ocean napisał w języku łotewskim łotewski dziennikarz O. Nonacs. P. M. Miż-Miszyn pisał w „Naszym Życiu” tylko sprawozdanie o tej książce. Książkę tę można nabyć w każdej księgarni łotewskiej. W polskim języku ta książka nie ukazała się.

— „Szanowny Panie Redaktorze!

W drugą rocznicę istnienia „Naszego Życia” zasylam szczere życzenia, aby ta gazetka żyła nie 2 a 200 lat i aby z Nowym Rokiem z tygodnika zaczęła wychodzić chociaż 2 razy tygodniowo. Wszystkim pracownikom Redakcji życzę wesołego Bożego Narodzenia i Nowego Roku.

Pozostaję z głębokim szacunkiem

P. Silwanowicz.”

Odezwiście się!

Wyjechała z Polski do Łotwy na pracę w r. 1933 Stanisława Rakiel (z powiatu — Brasław, gmina — Opsa, wieś — Rymszany). Ktoby wiedział o niej coś, proszony jest powiadomić jej brata — Antoniego Rakiela — pod adresem:

Krustpils, p. n. Andrani, Rogalu majas.

Również poszukiwany jest przez tegoż Antoniego Rakiela jego brat stryjeczny Antoni Szukiel (z powiatu — Brasław, gmina — Opsa, wieś — Rymszany). Wszyscy, którzy o tych osobach coś wiedzą, proszeni są powiadomić albo Antoniego Rakiela albo Redakcję „Nasze Życie”.

najwyższych, to lzy przesłaniały jego oczy, serce gorzało miłością, a usta ilekroć chciały wymówić imię Jezus, tylekroć wielką siłą wypowiedziały te słodczy pełne wyrazy: Kochajmy Dzieciątko z Betlejem.

W pustym żłobku pojawiło się śliczne dzieciątko; to uśmiechało się, to mrużyło oczęta, to znów głaskało rączką natchnione oblicze i szorstkią habit biedaczyny Chrystusowego. Z piersi tłumów popłynął okrzyk radości...

Ks. Franciszek Wojtyga



SPRAWY GOSPODARCZE



Z praktyki Starego Rolnika

Najczęstsze błędy popełniane przy żywieniu świń w zimie. Zaliczyć do nich należy: 1) Karmienie zbyt rozwodnioną paszą, zamiast używać do tego celu paszy suchej lub w postaci gęstej papki. Rozwodniony pokarm rozcieńcza zbyt kwasz żołądkowe, wskutek czego trawienie nie może przebiegać prawidłowo, następnie obciąża niepotrzebnie żołądek płynem, a nerki zmusza do intensywnej a niekonicznej pracy; świnia nie oślinia i nie łąże zbyt rozwodnionego pokarmu, a więc nie pobudza gruczołów do wydzielania śliny, a tym samym pokarm nie zostaje należycie wyzyskany i część jego niepotrzebnie się marnuje. Udowodniono, że gdy na przyrost 100 kg. żywej wagi wystarczyło dać tylko 515 kg. pokarmu w stanie suchym, to tegoż pokarmu, silnie rozwodnionego, trzeba było użyć na ten sam przyrost aż 543 kg. Należy zatem, karmiąc świnie ziemniakami uparowanymi, z dodatkiem pasz treściwych, dodać tyle do nich pomyj kuchennych, czy mleka odtłuszczonego, aby była gęsta papka, ale nie płynna polewka z zupy.

2) Nie dawanie świniom czystej, świeżej wody. Świnia, jak każde zwierzę, potrzebuje wody, a nawet, w stosunku do zjedzonej suchej paszy, daleko więcej od krowy lub konia, ale to nie dowodzi, by tę wodę dostawała wraz z pokarmem chociaż zwykle lubi tak zadawać karmę hodowca, by sobie zaoszczędzić pracy, lecz musi otrzymać ją czystą w oddzielnym naczyniu, a pojenie wodą najlepiej uskutecznić przed zadawaniem paszy.

3) Błędem jest dawać zbyt słone pomyje kuchenne, a np. reszki z wyplókanych beczek po śledziach są wprost szkodliwe. Na ogół świnie bardzo mało soli kuchennej potrzebują, ale mały dodatek, np. przy skarmianiu tak mdłych pasz jak ziemniaki, jest pożądany, a doświadczenia w Anglii udowodniły, że mały dodatek soli wpływa na przyrost wagi trzody chlewnej.

4) Karmienie jednostronną paszą, jak np. tylko ziemniakami okraszonymi osypką, bez dodatku plew do dziennej dawki, też nie jest rzeczą wskazaną. Plevy, zwłaszcza z koniczyny, wyki, czy seradeli są wyborną paszą dla świń, znakomicie wpywają na dobre trawienie i przyrost żywej wagi dzięki zawartości w nich białka. Nie mając jednak takich plew, należy pociąć siano na sieczkę i dodawać do karmy. W braku roślin motylkowych, można dodać do paszy bodaj trochę plew owsa, czy pszenicy, a trawienie będzie lepsze. Nie wolno ich jednak skarmiać „na surowo”, dodając do ziemniaków gnionych, bo są zbyt twarde, ale plewy czy sieczkę zaparzyć wprzód wrzącą wodą i trzymać w beczce czy cebryku przez 12 godzin, przykrywszy workiem, czy matą słomianą. Plevy i sieczki rozmiękną, a domieszane do karmy będą strawniejsze i chętniej zjadane, a przy tym karma będzie ciepła, co też nie jest bez znaczenia, zwłaszcza w zimowej porze,

5) Zapominanie o dodatku wapna pastewnego czy kredy szlamowanej do paszy, mści się nieraz dotkliwie na hodowcy świń. Zwłaszcza o tym dodatku dla młodzieży rosnącej nie trzeba zapominać. Brak wapna w paszy powoduje u młodych sztuk rachityzm, a u starszych „lamikosi”, co tym częściej występuje, jeśli ziemniaki (zawierające zawsze bardzo mało soli mineralnych) są główną karmą świń. Krzywicę, czyli rachityzm kości, łatwo poznać po tym, że świnie bez powodu kwiczą przy poruszaniu się, z trudnością i z niechęcią wstają, chodzą sztywno, a nawet czasem występuje opuchnięcie odnoży. Dla tego dodatek 5—15 g. (zależnie od wieku) kredy szlamowanej na sztukę młodą dziennie, a 15—20 g. na dorosłą jest pożądany, bo uchroni nas od strat, a przy tym i procesy trawienia będą się odbywać prawidłowo. Mimochodem nadmieniamy, że dodatek do paszy mączki mięsnej czy rybnej (bogatej w związki mineralne) zabezpiecza nas zawsze od krzywicy w chlewie.

Z innych błędów popełnianych przy żywieniu świń, należy zwrócić uwagę na to, że o ile wodę z uparowanych ziemniaków trzeba odlać, gdyż zawiera trującą substancję „solanin”, to z okopowych jak buraki, marchew, rzepa, błędem byłoby wodę odlewać bo zawiera w sobie pożyteczny cukier. Jednak, jak to obecnie stosują zagranicą, można skarmiać okopowe i korzeniaste na surowo i do tego powoli przyzwyczajając już młode prosięta. Starsze świnie, o ileby je dostawo w większej ilości, mogłyby zachorować na niestrawność, dla tego należy je powoli przyzwyczajając do zjadania surowych buraków, marchwi lub rzepy.

Nie karmić świń zmarzniętą albo zbyt zimną paszą, gdyż to rozstraja żołądek, a u prośnych sztuk może być powodem poronienia. Temperatura podanej karmy powinna być nie niższa od pokojowej, ale i nie wyższa od normalnej ciepłoty ciała zwierzęcego. Zbyt gorąca karma wydelikaca narządy trawienia, a korzyści żadnej nie daje. Niektórzy błędnie sądzą, że gdy chlew zimny, to świnie jako rekompensatę muszą dostawać gorącą karmę. Wprawdzie świnie znoszą dość duże zimno, to jednak w naszych warunkach klimatycznych powinny mieć chlew nie zbyt zimny i bez przeciągów, a karmę otrzymywać o ciepłocie nie niższej od temperatury pokojowej.

Brudne, nie wyczyszczone po jedzeniu koryta, w których reszki karmy kwasnieją, są powodem częstych chorób, muszą być więc starannie wyczyszczone z resztek, często myte z wystawianiem na słońce, oraz przynajmniej raz na tydzień bielone wapnem.

Ze względu na łatwe kwaśnienie, nie należy gotować na „zapas” ziemniaków, lecz zawsze świeżo uparowane zadawać po dostatecznym oziębieniu. Niepunktualność w żywieniu świń odbija się na prze-

widowym funkcjonowaniu organów trawienia i należywym wyzyskaniu paszy.

Nakoniec czystość w chlewie, odpowiednie w kącie legowisko z desek na cementowej posadce z miękką a suchą ściółką, dobrze przewietrzany chlew, zapewnią nie tylko wygodę i warunki higieniczne świniom, ale i korzystnie działają na wyzyskanie karmy. Ruch, światło, świeże powietrze konieczne potrzebne, co zmusza nas znów do założenia okólnika, na którym mogłyby świnie przebywać, zahartować się, a wszystko to, wraz z czyszczeniem samego zwierzęcia, względnie jego myciem, decyduje w dużym stopniu o powodzeniu hodowli świń.

Inż. Br. Staniszewski

ŻYWIENIE MACIOR

W Nrze 5 „Życia Rolniczego” znajdujemy wskazówki o żywieniu macior, podane z pisma niemieckiego — które poniżej podajemy w przedruku.

Mówiąc o żywieniu macior karmiących należy przede wszystkim zdać sobie sprawę z tego, iż wymagamy od nich wyjątkowego wysiłku — a wobec tego winniśmy otoczyć je specjalną troskliwością. Maciora w okresie karmienia powinna właściwie być uznana za zwierzę dojne i karmiona tak, by mleczność jej mogła być jak największa. Pamiętać przy tym należy, że karmiąc np. 10 prosiąt ma maciora do wykonania dużo cięższe zadanie, niż krowa karmiąca jedno tylko cielę — tym bardziej, że prosięta rozwijają się nadzwyczaj prędko i waga ich powinna podwoić się w ciągu pierwszych 8—10 dni, co może nastąpić tylko dzięki dostatecznej ilości i jakości pokarmu macior.

Karmiąca maciora daje dziennie 3—5 litrów mleka o znacznie wyższym odsetku tłuszczu i białka od mleka krowiego. Jak wielkim jest wysiłek organizmu karmiącej maciorę dowodzi to, iż wymagamy od niej ilości pokarmu, wystarczającego dla normalnego przyrostu wagi — 150 gramów na sztukę dziennie, co przy 10 prosiątach daje dzienny przyrost wagi 1500 gramów. Jeśli ten przyrost zestawimy z 600 gramami przyrostu dziennego sztuki tucznej i przypomnimy, że pokarm maciorę ma służyć nie na wytworzenie tłuszczu, lecz na budowę tkanki, której budowa wymaga większej ilości białka, to musimy stwierdzić, że karmienie macior w tym okresie pod kątem widzenia ich wydajności mleka jest koniecznością.

(Dokończenie nastąpi)

MĘSKI I DAMSKI KRAWIEC

F. Wiszniewicz

Elizabetes iela 89, róg Marijas iela
Sumienne i tanie wykonanie ob-
stanków podług ostatniej mody.

Trochę opowiadań zwierzęcych

W jednym z pism wiedeńskich znajdujemy wyborne bajeczki zwierzęce **Maksa Habeka**:

„Piękna óma wyleciała z ciemności nocy letniej ku lampie, która oświetlała mój pokój. Niewątpliwie spalilaby sobie czułki, a może nawet spłonęłaby cała, gdyby się dostała zbyt blisko lampy.

Żał mi się zrobiło pięknej ómy.

Skręciłem knot — wokół zapanowała ciemność. W ciemności słyszałem skargi ómy:

„Cóż za demon zabrał mi najśłodsza rozkosz! Ach, jakie oszalałające było światło! Upajało mnie tak, jak nie, nigdy mnie jeszcze nie upoiło. Porywało mnie swą jaśniejącą wspaniałością. Właśnie chciałam runąć w nie, w tę kąpiel blasku, oszalała rozkoszą i pożądaniem, gdy nagle sgasło wszystko. Wokół mnie panuje ponura ciemność. Nie pozostaje mi nic innego, jak wylecieć w ciemną noc, z której przybyłam do tego rajy. A teraz przeszło, minęło wszystko! Ruszajmy w ciemność! Nie było mi dane zażyć szczęścia”.

A przecież uratowałam jej życie.

Wiedziałam lepiej niż ona, co jest dla niej dobre.

Nauka: Los, który nam każe zrezygnować z pewnych rzeczy, jest często rozumniejszy i lepszy niż myślimy.

II.

Gąsienica spostrzegła motyla i wpatrywała się weń z podziwem. Nie potrafiła zrozumieć, jak można prowadzić tak lekkie i wesołe życie, trzepocąc skrzydełkami beztrudnie i radośnie. Uważała, że niema nic wspanialszego niż mieć skrzydła, błyszczące różnymi barwami, i poruszać się swobodnie w przestworzach.

Motyl spojrział z góry na gąsienicę i dziwił się, jak można żyć tak niemożliwie, będąc przyklepioną do listka i żreć ciągle niesmaczną zieleninę.

— Nie, to nie dla mnie — pomyślał i pofrunął czempredziej dalej. Cóż za wstrętne stworzenie. Straszne, gdy się pomyśli, jakie obrzydliwstwa żyją na tym świecie!

Jak widziwy motyl zapomniał o swem poprzednim wcieleniu.

Gąsienica nie wiedziała nic o swoim przyziemiu.

Dwa stany tego samego bytowania.

Nauka: Ludzie wiedzą bardzo mało o sobie.

Pewien człowiek postanowił zapytać wołu, dlaczego nie znosi czerwonego koloru.

— Dlaczego właściwie nie znosisz czerwonego koloru? Przecież to taki sam kolor, jak każdy inny. Nie przynosi ci przecież żadnej szkody...

— Ma pan rację — odparł wół. — To jest taka moja idea fixe. Odtąd nie będę zwracał uwagi na czerwony kolor.

— Zróbmy próbę — rzekł człowiek. — Pokażę ci najczerniejszą chustę.

Wół zgodził się. Człowiek pokazał mu czerwoną chustę i z trudem uratował sobie życie, gdyż wół rzucił się natychmiast na niego.

Ten sam człowiek chciał pewnego razu odzwycząić psa od nienawiści do kota.

— Dlaczego właściwie jesteś wrogiem kota? — zapytał psa. Przecież koty nie czynią ci żadnej przykrości. Są to delikatne stworzenia, lubią spokój, stanowią niejako arystokrację wśród zwierząt. Pomyśl o ich cichym chodzie, o ich czystości, o ich wrażliwości na pieczyoty. Są to zachwycające zwierzątka, godne tego, by się do nich odnosić przyjaźnie. Tymczasem ty, jak szaleniec, gonisz za każdym kotem. Szczekasz straszliwie i szczerzysz zęby. POCO właściwie to wszystko?

Pies musiał przyznać, że nie wie, dlaczego tak się zachowuje. Przyrzekł, że odtąd przestanie się interesować kotami.

— Zróbmy próbę — rzekł człowiek — mam arcycymilego kota.

Zawołał na kota. Kot zjawił się i w następnym momencie pies runął za nim, tak, że kot z najwyższym trudem zdołał wskoczyć na najbliższe drzewo. Mało brakowało, a byłby padł ofiarą zębów psa.

Nauka: Trudno wytepić instynkty, nawet u ludzi.

IV.

Pewna pani słyszała, że kanarki tym pięknie śpiewają, im mniej dostają do jedzenia. Dlatego dawała swemu ukochanemu kanarkowi coraz mniej jedzenia. Po pewnym czasie zauważyła jednak, że kanarek nie wydaje się nadzwyczajnie nastrojony do śpiewu. Był to widocznie jakiś niepodobny do innych kanarków. Pewnego ranka znalazła go martwego w klatce. Kochany, słodki śpiewak zdechł z głodu.

Nauka: Poeeci niekoniecznie wówczas piszą najlepsze wiersze, gdy się ich głodzi. Czasami milkną w takich wypadkach, a często umierają przedwcześnie.

... i satyry sowieckiej

W Charkowie zwołano gromadę ludzi, aby uświetniła uroczystość otwarcia nowej rozgłośni radiowej. Technik wyjaśnia zbranym, że każdy głos, który odezwie się przed mikrofonem, słyszany będzie w całym świecie.

Jeden z gości obecnych zgłasza chęć wypróbowania instrumentu. Prosi, aby mu pozwolono wypowiedzieć dwa słowa, tylko dwa słowa. Gdy pozwolenie uzyskał, podchodzi do mikrofonu i krzyczy:

— Na pomoc!

Stado królików, uciekając z Unji Sowieckiej, przekroczyło granicę chińską. Chińczycy witają je gniewem i chcą cofnąć z powrotem.

— Oh! — jęcza króliki — G. P. U. każe aresztować wszystkie żyrafy w Rosji.

— Ależ — wołają Chińczycy — wy nie jesteście żyrafami!

— Zapewne, ale spróbujcie to udowodnić w G. P. U.

* * *

Jeden z dygnitarzy sowieckich clerpiął, gdy go wszy gryzły. Nie pomagał żaden środek mechaniczny, medyczny, ani chemiczny. Zrozpaczony woła Bucharina na naradę.

— Ratunek jest bardzo prosty — orzeka filozof sowiecki: — trzeba jedną wesz skomunizować! Reszta ucieknie.

DOSIEGO ROKU! Szanownej Klienteli życzą:

Rada i Zarząd

POLSKIEGO STOWARZYSZENIA POŻYCKOWO-OSZCZĘDNOŚCIOWEGO składa swoim członkom najlepsze NOWOROCZNE ŻYCZENIA

St. ŁAPIŃSKI

POLSKA CUKIERNIA-KAWIARNIA

Nometniu iela 10, tel. 41047

CECYLIA ZABIEŻYŃSKA

LEKARZ-DENTYSTKA

Godziny przyjęć: 10—13 i 15—17 codziennie

Kalkiu iela 21, m. 4, tel. 23060

Fabryka mydła „BAŁTA“

Właściciel W. Nagłowski

Matisa iela 49.

Tel. 93643

W. Matulenko

ATELIE UBRAN DAMSKICH I MĘSKICH

Modnie. Dobrze. Tanio.

Ul. Waldemara 4, m 4.

Tel. 32070



ANT. ŚWIRSKI

Jedyny polski sklep i pracownia zegarków, złotych i srebrnych rzeczy. Spec. monogramy i fakeymilie. Kupno złota i srebra.

Ryga, Marijas iela 18, róg Awotu, tel. 28645.

Firma T. Sławiński

FUTRA W NAJWIĘKSZYM WYBORZE: lisy, karakuly, skunksy i t. d. Do nabycia futra gotowe i na obstalunek. Wykonanie sumienne, modne i tanie.

Terbatas iela 32/34

Tel. 25408

A. Stempkowski

WYTWÓRNIA WÓD MINERALNYCH I OCTU

Sadownikowa 39, tel. 31928